

Włodzimierz Żukowski

**Komisarz  
O'Mlett  
i zbrodnia  
w pałacu**

Warszawa



*Wszystkie nazwiska, nazwy miejscowości i wydarzenia przedstawione w tej książce są przypadkowe i mają związek z rzeczywistością tylko o tyle, o ile rzeczywistość zechce się z nimi utożsamić.*

Komisarz Egg O'Mlett od prawie dwóch miesięcy siedział w komendzie i prawie nic nie robił. Gdy w połowie listopada z sukcesem zakończył śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci niejakiego hrabiego Barłoga, delikatnie odsunięto go od rozwiązywania poważniejszych spraw i od paru tygodni nudził się rozpracowując kryminalną drobnicę. Absorbowały go służbowo tylko takie mało ciekawe występki jakichś trzeciorzędnych złodziejasków z bazaru czy drobne przekręty na sumę kilkuset zielonych, zagrożone co najwyżej miesiącem aresztu lub grzywną, której i tak nie dałoby się wyegzekwować. Zajęcie w żadnym sensie nie wiązało się z zadaniami wydziału zabójstw, więc komisarz wykonywał je solidnie, ale rutynowo i bez zbytniego zaangażowania licząc, że w niedługim czasie powróci do rozwiązywania prawdziwych zagadek. Jednakże czas upływał, a przełożeni nie spieszyli się jakoś z przywróceniem O'Mletta na dawne stanowisko.

Przyjechał do Polski przeszło półtora roku temu w ramach szkoleniowej wymiany kadr z policją amerykańską i rozpracował do-tychczas sprawę biznesmena Ciurbola, który uprał się i odwirował w domowej pralce, zagadkowy zgon dyrektora Kwasignata, który zagryzł się własną sztuczną szczęką, i odkrył przyczynę śmierci kandydata na senatora, niejakiego Barłoga, zmielonego przez ma-szynę do czyszczenia lotniskowych pasów startowych.

Jak się wydaje, właśnie ta ostatnia sprawa stała się przyczyną odsunięcia O'Mletta od prowadzenia poważniejszych przypadków, bo aczkolwiek odniósł on bezsporny sukces dochodzeniowy, to sięgnął za głęboko wykrywając zbyt dużo i jego przełożeni przez to poczuli się politycznie zagrożeni, jako że Barłóg miał zarówno wrogów jak i przyjaciół na różnych szczeblach władzy.

Sam komisarz był czikagowskim policjantem, synem polskiego emigranta, rodzimy język znał słabo, ale zdaniem amerykańskich przełożonych dostatecznie aby poruszać się po lotnych politycz-nie piaskach swojej starej ojczyzny. Przed wymuszoną względami praktycznymi zmianą paszportu nazywał się Eugeniusz Jajszczy, co wśród jego kolegów ze stanu Miczigen powodowało przypadki zaplucia się do nieprzytomności.

Podwładnym, kolegą i przyjacielem O'Mletta był pracujący z nim od początku jego pobytu aspirant Charuj wraz z komisarzem

skazany teraz na cichą, wewnętrzną banicję, jako że jego wiedza o sprawie Barłoga mogła być dla niektórych równie groźna jak zasób wiadomości i skojarzeń amerykańskiego przełożonego.

Poza nimi dogłębnie wprowadzony w sprawę był jeszcze tylko szef wydziału zabójstw, inspektor Strzypiur, ale odpoczywał on aktualnie w sanatorium po przebytych zawale, którego przyczyną, jak się wydaje, był właśnie niebezpieczny wynik tego dochodzenia. Jego zastępca, podinspektor Przeciąg, czasowo szefujący wydziałowi, wiedział tylko tyle, że nie należy zlecać Amerykaninowi poważniejszych śledztw, ale przyjmował ten zakaz jako przejaw troski o właściwą aklimatyzację zamorskiego gościa i nie wiązał z tym żadnych politycznych zastrzeżeń.

Kiedy więc Kancelaria Prezydenta zażądała natychmiastowego skompletowania ekipy dochodzeniowej złożonej z osób nie podejrzewanych o uczestnictwo w jakimś układzie, podinspektor Przeciąg bez chwili wahania wskazał O'Mletta jako osobę stuprocentowo pewną z racji pochodzenia i niekwestionowanej fachowości oraz w żaden sposób nie związaną z brzydką rządową koalicją.

O'Mlett z Charujem na krótkiej odprawie u podinspektora dowiedzieli się tylko tyle, że w pałacu nastąpił nagły i niespodziewany zgon wybitnego polityka, wobec czego mają się tam niezwłocznie udać celem podjęcia ewentualnego śledztwa, jeżeli na miejscu

otrzymają od właściwych czynników takie polecenie. Nie wolno im natomiast podejmować żadnych radykalnych kroków samodzielnie, jako że przypadek z racji miejsca zdarzenia i osoby świętej pamięci zmarłego ma niewątpliwie znaczenie polityczne.

– Łot? – powiedział O'Mlett do Charuja, gdy wyszli z gabinetu szefa – Ci to znać, że ktosz ważny ustali, co należy się wyśledzić, a my tylko robimy za Mużina?

– Na to wygląda – odrzekł aspirant. – Znowu pewnie niechcący wdepnęliśmy w jakieś szambo, ale nie ma rady, trzeba jechać. Dowiedzmy się przynajmniej o co chodzi.

W pałacu jakiś sięgający im łysą czaszką pod pachę dostojnik, który nie podał im nie tylko ręki, ale nawet nazwiska i funkcji, poinformował ich lekceważąco, że zostali wezwani ponieważ ich obecności wymagają przepisy, ale mają siedzieć cicho i nie wtrącać się w nie swoje sprawy. Jak będzie trzeba coś podpisać, to ktoś im to coś podsunie i na tym ich rola się skończy. – Dostało do panów, czy mam powtórzyć? – zapytał patrząc z dezaprobatą na ich wymiętoszone koszule i odszedł nie czekając na odpowiedź.

– Ale co się stało? – Charuj, mimo wyraźnych ostrzeżeń zawartych w głosie dostojnika, beczelnie zaatakował oddalającą się postać.

– Przyjdzie czas, to ktoś was wprowadzi w tak zwane meritum – rzucił ten przez ramię i zniknął za pałacowymi drzwiami, które otworzył klamką wspinając się na palce.

– Kto jest ten goszcz? – szeptem zapytał O’Mlett.

– Nie wiem. Pewnie jakiś szambelan – odmrunknął Charuj.

Stali tak na środku hallu z dziesięć minut, nie ryzykując siadania na zabytkowych meblach, gdy wreszcie pojawiła się jakaś ascetycznie ufryzowana brzydula i wyjaśniła im w krótkich, żołnierskich słowach, o co chodzi.

– Podczas uroczystego śniadania świętej pamięci pan minister Spitogniew Maria Plaplak, nasz nieodżałowany rzecznik prasowy, uległ zadławieniu ością. Mimo natychmiastowej pomocy ze strony pani minister Framugi, księdza kapelana z kropidłem i lekarza nie udało się go uratować. Personel kuchenny być może zostanie pociągnięty do odpowiedzialności karnej, czym zajmie się prokurator, oczywiście wyznaczony przez poprzedniego ministra sprawiedliwości na uchodźstwie. To wszystko, o czym panowie powinni wiedzieć. Zaczekajcie teraz w tej sali obok, aż ktoś was wezwie i udzieli dalszych instrukcji, o ile będzie taka potrzeba.

– Ale jaky osoby byli obecni na to śniadanie? – zaryzykował O’Mlett.

– To ostatecznie możemy ujawnić, bo i tak kłamliwe, prone-  
mieckie media rozbębnią. Jak koniecznie chcecie, to dostaniecie  
listę. Za parę minut ktoś wam podrzuci. Wszystko, czy jeszcze coś,  
bo my tu nie mamy czasu na zbędne wyjaśnienia?

– Dziękujemy, na początek dobre i to – z nieprzeniknionym wy-  
razem twarzy powiedział Charuj – choć przyznam, że liczyliśmy na  
więcej.

– Proszę bez niestosownych uwag – zmroziła ich brzydula.

Parę minut oczekiwania trwało ponad godzinę. Po upływie tego  
czasu ta sama urzędniczka wręczyła im wydruk komputerowy za-  
wierający tytuł i sześć nazwisk.

Uczestnicy uroczystego śniadania zorganizowanego dla uczcze-  
nia podpisania umowy handlowej z Republiką Południowego Pa-  
pugatu przez Biuro Zapobiegania Nieplanowanym Poślizgom Na  
Powierzchniach Poziomych w dniu ...

1. Dyrektor Biura w randze ministra – pani Wanna Framuga.
2. Doradca Pana Prezydenta ds. Wypowiedzi Niewiążących,  
Przypadkowych i Kamieni Obrazy – pan Janko Maćko Moher-Be-  
rett.
3. Doradca Pana Prezydenta ds. Zagranicznego Handlu Warto-  
ściami – pan Zbyszko Jaśko Moher-Berett (pełniący również funk-  
cję tłumacza).



4. Rzecznik prasowy Biura – pan Spitogniew Maria Plaplak.

5. Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Republiki Południowego Papugatu – Jego Ekscelencja pan Coffy Mbrguy.

6. Radca Handlowy Ambasady Republiki Południowego Papugatu – pan Kwinkua Beleyaka Wzgmayx.

Charuj przebiegł oczami ten krótki tekst i zdążył zapytać zanim brzydula zniknęła za drzwiami po oddaniu pisma.

– To wszystko? A ochrona, kuchnia, kelnerki, lekarze, kapelan, no... nie wiem, kto jeszcze!

– A co te osoby mają do rzeczy? Przecież nie brały udziału w śniadaniu.

– Ale je przygotowywały lub były świadkami zdarzenia.

Brzydula obruszyła się widocznie, bo odrzekła z przyganą w głosie. – A nasze w pełni wiarygodne świadectwo, pana ministra i moje, nie wystarczy? Niech pan nie utrudnia, cóż to za zdrożna nadgorliwość! Wszyscy jesteśmy w szoku, trzeba mieć trochę kultury, choć przyznaję że trudno tego od panów oczekiwać!

– To żadna nadgorliwość, każdy uczciwy prokurator o to zapyta, bez różnicy czy ze starego czy z nowego portfela.

– Panowie zostali poinformowani, że macie tylko robić swoje...

– Właśnie robimy swoje – Charuj postanowił nie ustępować, a O'Mlett założył ręce po napoleońsku i patrzył twardo na brzydulę.

– Po co wam taka szczegółowa lista? Nie będziecie przecież tych wszystkich ludzi przesłuchiwać!

– Możliwe, że nie będziemy, jeżeli sekcja zwłok ofiary wykaże zgon z przyczyn naturalnych. W przeciwnym przypadku – będziemy.

– Cooo? Na żadną sekcję nikt się nie zgodzi!

– Proszę pani – zimno powiedział Charuj – prokurator musi zarządzić sekcję, jeżeli był to nagły zgon z nieustalonych przyczyn. Musi! Chce czy nie chce.

– Jakich nieustalonych? Przecież pan minister Plaplak udławił się ością w czasie służbowej konsumpcji śledzika w śmietanie! Nie ma co do tego żadnych wątpliwości!

– A skąd pani wie, że właśnie tak było? Może umarł na zawał serca, mógł to być na przykład wędrujący skrzep albo udar. A może został otruty? Nie bierze pani tego pod uwagę? Nie chcą państwo dowiedzieć się, z jakiego powodu pan minister umarł?

Brzydula zapieniła się maksymalnie. – Co panowie nam tu insynuują! Jakie znów otrucie? To jest kolejny, bezprzykładowy atak ze strony sił rządowych! Tu jest pałac a nie jakiś krem! Tu nie dzieją się żadne takie...

– Jeżeli wszystko jest takie proste i zrozumiałe, to skąd raptem znalazła się w śledziu taka wielka ość, że mógł się nią śmiertelnie

udławić dorosły mężczyzna? I jak to się stało, że nie pomógł mu nawet lekarz, który przecież był na miejscu? Prosimy o listę osób z obsługi, zaangażowanych w przygotowanie śniadania, tej czynności nie da się ominąć.

– Będziecie naukowo oceniać strukturę anatomiczną szkieletu tego śledzia? – zakpiła brzydula zauważywszy, że policjant jest nieczuły na jej interpretację zdarzenia, będącą przecież jej zdaniem oczywistą oczywistością.

– Tak, będziemy. Proszę o listę osób!

Urzędniczka wzgardliwie wzruszyła ramionami, podkreślając tym gestem absurdalność żądania policjantów i wyszła bez słowa do dalszych komnat.

– No i co będzie? Dostaniemy te nazwiski ci nie? – O'Mlett zadał to pytanie Charujowi z uśmiechem, bardziej, jak się zdaje, dla zawarcia zakładu o wynik negocjacji niż oczekując rzeczowej odpowiedzi.

Po czterdziestu minutach brzydula pojawiła się znowu i wręczyła im kartkę z wykazem nazwisk i funkcji osób z obsługi. Była przy tym wyraźnie obrażona i widać było, że nie zamierza ulegać jakimkolwiek dalszym żądaniom. Mimo to O'Mlett przybrawszy twarz w rozbrajający uśmiech zadał jej całkiem nieoczekiwane pytanie:

– Prosię pani, ci pan Janko Maczko Moher-Berett i pan Zbiśko Jaszko Moher-Berett to som bruders... znaći braty?

– Ależ skąd! W ogóle nie są spokrewnieni! Nawet nie są do siebie podobni! Co też panu przyszło do głowy? A poza tym co to panów obchodzi? Czy to ma być śledztwo, czy jakaś inwigilacja?

– Ja tak pitam dla požądku, ale jak nie som podobni...

– Oczywiście! Ani trochę. Na przykład jeden ma wąsy, a drugi nie ma.

– No tak, to ja teraz też widzę żadny podobnoszcz. Ja rozume, że w Polsce wąsy wykluczają związek do jedna rodzyna.

Brzydula zrobiła się nagle czerwona, później zielona, zamachała rękami, po czym odwróciła się gwałtownie i wyszła zdecydowanym krokiem.

– No i widzisz – powiedział Charuj do O’Mletta – Dowiedziałeś się i już teraz wiesz. Widocznie to są jednojajowi całkiem obcy mężczyźni, a nie jacyś tam bracia. Cuda się zdarzają, a ty wątpię, zachodni niedowiarku, posądzając Bogu ducha winnych ludzi o brzydki nepotyzm.

Na liście obsługujących uroczyste śniadanie było siedem osób: Szefowa kuchni Marzena Frykas-Ciepły, w randze wiceministra, jej asystentka do spraw jaj i sosów Apolonia Ciapul, kelnerzy Kapeciak i Kibitka oraz ochroniarze: Furman, Bącki i Syr, wszyscy trzej

oficerowie z wysokimi kwalifikacjami po dziesięciodniowym kursie i miesięcznych rekolekcjach. Poza nimi tłustym drukiem wyróżniono kapelana-praflata księdza pułkownika z widokami na generała, którego przed miesiącem awansowano z szeregowca i lekarza, doktora X, których nazwisk nie podano uznając je widocznie za tajne.

Policjanci usiedli na kanapie wyściełanej adamaszkim i zagłębili się w treść listy. W tym czasie w rogach komnaty bezszelestnie pojawiły się dwie posągowe postacie w czarnych garniturach i ciemnych okularach, a jednej z nich spod marynarki dyskretnie wystawał koniec oksydowanej, wielkokalibrowej lufy.

Po dwudziestu minutach brzydula pojawiła się ponownie, pozornie niby przypadkiem, i zapytała ze zdziwieniem w głosie: – A panowie właściwie co tu jeszcze robią? Przecież już macie, coście chcieli. Jak będzie trzeba coś podpisać, to się was wezwie.

– Mamy wyjść z pałacu?

– Nie. Macie czekać w hallu, a nie tutaj.

– Gdzie jest ciało zmarłego? – zapytał nagle Charuj, nie ruszając się z miejsca, a O'Mlett rozsiadł się wygodniej, jakby w ogóle nie zauważył żądania.

– Zostało odtransportowane.

– Dokąd?

– We właściwe miejsce. To poufna informacja.

– A prokurator podjął czynności? – Charuj nie ustępował wobec jawnej niechęci odstonienia im bodaj skrawka rzeczywistości.

– Prokurator już sam będzie wiedział, co ma robić. Panowie nie musicie go pilnować – brzydula zdecydowanie zakończyła rozmowę i znikła w przyległych komnatach.

W tej sytuacji O’Mlett wyciągnął komórkę, uaktywnił ją i połączył się z podinspektorem Przeciągiem, który po kilku sekundach namysłu kazał im wracać do komendy. Przez ten czas jeden z czarno odzianych panów usiłował wyrwać O’Mlettowi telefon, co mu się zresztą nie udało, bo komisarz był od niego wyższy, a drugi z panów zaszeptał coś do mikrofonu na ramieniu i wypadł za drzwi.

Prawie natychmiast powróciła brzydula i wsiadła na obu policjantów zarzucając im bezprzykładną bezczelność, rażący brak kultury typowy dla sfer zaprzędanych obecnemu rządowi i przekraczanie uprawnień, bo przecież każdy wie, że tu nie wolno tak sobie, bez dania racji, używać jakiejś tam elektroniki niewiadomego pochodzenia.

– To ćeba mówicz, że nie wolno. Pani nie mówy, to ja użiwa – spokojnie zareplikował komisarz. – W nasia praca nesesery kontakt. No problem, my już wracamy do komendy.

– Jak to wracacie? Macie czekać w hallu i podpisać protokół!

– Jaki protokół? – spytał Charuj.

– Normalny, opisujący to, co zostało zrobione i ustalone!

O'Mlett z aspirantem spojrzeli na siebie znacząco i porozumiewawszy się wzrokiem z podwładnym komisarz wycedził zimno – Not.

– Jak to nie? – brzydula niemal zawyła, szczytując w oburzeniu.

– Podpiszemy, ale tylko to, co sami napiszemy w notatce z czynności – głos Charuja był równie lodowaty jak przełożonego. – nie zamierzamy podpisywać żadnego gotowego dokumentu zawierającego stwierdzenia, których sami nie ustaliliśmy. To jest podstawa rzetelnego śledztwa, proszę pani.

– Ależ my chcemy tylko panom pomóc.

– Dziękujemy za dobre chęci, ale prosimy o dostęp do zwłok, świadków i miejsca zdarzenia. Bez tego nie mamy tu co robić.

– Widzę, że panowie reprezentują wrogie nastawienie, ciekawe z czyjej inspiracji! Jak przybędzie prokurator, to ukróci te wasze insynuacje!

– A więc jeszcze nie przybył? – Aspirant niemal roześmiał się na to stwierdzenie. – No to kto w takim razie ustalił to wszystko, co państwo zamierzają umieścić w protokole i dać nam do podpisu?

W kieszeni O'Mletta odezwała się komórka, ale gdy przyłożył ją do ucha, to dobiegły z niej tylko jakieś zgrzyty i trzaski. Komisarz

słuchał ich przez kilkanaście sekund, wreszcie wyłączył i schował aparat. – Gud, topsie – powiedział w końcu zwracając się do brzyduli – bykóz my nic nie robym i nie ma żaden kontakt, to my kampek do komendy, tam piśemy notatkę o parso dżywne psiciny za niechania. Go, Charuj.

Zebrali się do wyjścia, ale urzędniczka zastąpiła im drogę.

– To nieporozumienie – powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu, choć wyraźnie wzburzonym – wynikałe zapewne z tego, że pan zadziwiająco słabo zna język polski. Cóż to za niewydarzony pomysł, że ktoś tu chce panom utrudniać czynności? Przecież jest wręcz przeciwnie, jednakże obowiązują pewne procedury, panowie rozumieją, ...regulamin wewnętrzny, ...zasady postępowania, za chwilkę udostępnięmy panom ...no, że tak powiem... Mam nadzieję, że już dostatecznie wyjaśniliśmy to nieporozumienie. Prawda?

Po następnych dwudziestu minutach wprowadzono ich do saloniku śniadaniowego, w którym podobno zdarzył się ten nieszczęśliwy przypadek. Stół z nakryciami nie był sprzątnięty, a poza nim w pomieszczeniu znajdowała się jeszcze szafa, przeznaczona zapewne na nakrycia i bieliznę stołową oraz stolik podręczny, przykryty złotą tkaniną zwisającą do podłogi. Krzesła były poodsuwane pod ściany, jedno z nich przewrócone, a na podręcznym stoliku piętrzył się stos czystych talerzy i taca pełna pieczołowicie ułożonych sztućców.



W saloniku było dwoje drzwi. Przez jedne z nich weszli z korytarza, a drugie prowadziły do niewielkiego pomieszczenia, przeznaczonego zapewne na pokój wypoczynkowy, bo umeblowanego w dużą sofę i dwa głębokie fotele. Drzwi łączące ten pokój z dalszą częścią pałacu były półotwarte i stała w nich czarno odziana postać o tępych wyrazie twarzy, a na wyściełanej sofie spoczywały zwłoki szanownego denata.

– Okazuje się, że zwłok jednak nie odtransportowano, prokuratora jeszcze nie ma, więc nie bardzo rozumiem, w jakim celu był ten cały dotychczasowy... – półgłosem stwierdził Charuj, ale przed wypowiedzeniem ostatniego słowa ugryził się w język.

O'Mlett podszedł do zwłok, spojrzął w półprzymknięte, szkliste oczy i pochyliwszy się nad ustami zmarłego z lekka pociągnął nosem.

– Cyjanek? – bezgłośnie spytał aspirant.

– No.

Brzydula stała w rogu pokoju z kwadratowymi oczami, zakrywając usta obiema dłońmi, a ochroniarz w ciemnych okularach uczynił taki ruch jakby chciał odsunąć O'Mletta od zwłok, ale ostatecznie zrezygnował..

W przyległym saloniku śniadaniowym rozległ się jakiś brzęk, więc Charuj zajrzał tam i zauważył, że człowiek w stroju kelnera zabiera się do uprzątnięcia stołu.

– Proszę zostawić! – powiedział głośno i zdecydowanie, co w ogólnej ciszy zabrzmiało co najmniej jak wybuch. Kelner odskooczył pod ścianę jak oparzony.

Na stole stało kilka różnych dań, jakaś ryba faszerowana, sałatki, pieczywo, ale wyróżniały się talerzyki ze śledziem w śmietanie, z których dwa przybrane były w chorągiewki na wykałaczkach. Jeden we flagę narodową Republiki Południowego Papugatu, różowo-zielono-fioletową z białą sylwetką skrzydlatej ryby, a drugi w polską o odwróconych kolorach, czyli we flagę Monako, co wydało się policjantom nie całkiem zrozumiałe.

– Lasiego dwóch śledziów przybrane w nasional standardy, a drugie nie? – spytał O'Mlett przyjrzawszy się zastawie.

– Bo postanowiono podać jakąś polską narodową przystawkę, a te z flagami były dla pani minister Framugi i dla pana ambasadora – wyjaśniła urzędniczka.

– Aha. A lasiego tylko ta z polski standar napoczęty, a drugie nie jedzone?

– Bo tylko jedna osoba zaczęła jeść, a inne jeszcze rozmawiały, ale jak nastąpił ten ...no ...wypadek, to nikt już nie jadł. To chyba zrozumiałe!

– Aha. To lasiego nie udławiana jest pani minister tylko pan żećnik Plaplak?

Brzydula chciała parsknąć śmiechem, ale opanowała się. – Nie wiem, nie byłam przy tym.

– Ja rozumiem. Topsisie. A lasiego polski flag ma red na górze?

– Nie mam pojęcia. Może błąd kuchni albo kelnera.

– No topsie. Te wszystkie fyszce do badania w laboratory, a my rozmawiamy z kelnerami. Z jeden i z drugi. Ja prosie onych po kolei. Ten, co stoi hir, jak szę naziwa?

– Jan Kapeciak.

– Panie Kapeciak – Charuj przejął przesłuchanie w zastępstwie przełożonego – czy pan podawał do stołu w czasie śniadania?

– Tak. Z kolegą. – odrzekł zapytany chowając ręce za siebie, jakby bał się, że policjanci odkryją na nich ślady zbrodni.

– A który z was podawał tego śledzia w śmietanie?

– Ja.

– To talerzyk z polską chorągiewką przed kim pan postawił?

– Przed panią minister, ale ona cicho powiedziała, że za dużo śmietany, to pan rzecznik dał jej inny talerzyk, a ten zabrał. Chciał przełożyć chorągiewkę, żeby było w porządku, ale ona machnęła ręką, to wsadził te wykałaczki z powrotem, ale pewnie wetknął odwrotnie.

– No i co było potem?

– A to nie wiem, bo wysłem i posłem po barszczyk. Dalej Józek miał serwować jako starszy kielner.

– To wypadku z panem rzecznikiem pan nie widział?

– Nie. Dopirój jak szum się zrobił, kapelan przyleciał i doktor, to się dowiedziałem, że podobnież panu rzecznikowi coś zaszkoziło.

– A o ości ze śledzika pan słyszał?

– Nie... – Tu wtrąciła się brzydula, reagując z oburzeniem na niewłaściwą, jej zdaniem, treść relacji kelnera.

– Jak to nie słyszał? Dla każdego było jasne, że to ość! Pan rzecznik Plaplak zaczął kastać, chwycił się za gardło! Wszyscy głośno mówili, że to ość! Kapeciak musiał słyszeć, pewnie był w szoku i nie pamięta!

– Możliwe, że ma pani rację – zimno powiedział Charuj – ale proszę nam nie przeszkadzać. Raczej proszę połączyć nas z szefem ochrony.

– Po co on panom potrzebny? Nie było go tutaj.

– Żeby nam odpowiedział na jedno pytanie.

– A ja nie mogę?

– Nie, bo pani prawdopodobnie nie zna odpowiedzi.

– Zobaczmy, niech pan spróbuje – pobłażliwie uśmiechnęła się brzydula.

– Świetnie. Gdzie w tym pomieszczeniu są urządzenia monitorujące dźwięk i obraz i gdzie są taśmy z czasu trwania śniadania?

– Ależ co pan? Niczego takiego tu nie ma! – zachnęła się, czerwieniejąc.

– Widzi pani? Mówiłem, że nie zna pani odpowiedzi, lub może nie chce pani znać – warknął Charuj.

– Jasne, że takie urządzenia są, bo dziwne byłoby, gdyby nie istniały. No to jak będzie z tym szefem ochrony? Czy państwo naprawdę mają nas za kompletnych idiotów?

– Ale to są informacje poufne!

– Niczyja śmierć nie może być poufna – poważnie odrzekł aspirant – a zapis wydarzeń może tę śmierć dokumentować.

Nastała męcząca cisza, bo brzydula nie wiedziała co odpowiedzieć, O'Mlett milczał i tylko wyczekująco obserwował rozwój wypadków, a Charuj nie zamierzał interlokutorce ułatwiać zadania poprzez, na przykład, zmianę tematu. Wreszcie, po upływie przynajmniej minuty, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, urzędniczka wybąkała dość niepewnie:

– No, może panowie dostaną ten zapis, jeżeli komendant się zgodzi. ...No i o ile taki zapis w ogóle istnieje, w co wątpię – dodała po chwili, wyraźnie w celu ratowania prestiżu.

Zanim wszelako porozumiano się z szefem ochrony, przybyła ekipa z komendy i w milczeniu zabrała się do zabezpieczania w osobnych pojemnikach wszystkich dań pozostających na stole. Robili to nad wyraz dokładnie, opisując każdy produkt z osobna, a mimo to byli gotowi już po piętnastu minutach.

Ledwie skończyli i odjechali, gdy pojawił się prokurator. Był to młody człowiek, bardzo pewny siebie, żywiący niewzruszone przekonanie o własnej nieomyślności.

– Prosta sprawa – stwierdził ledwie zerknąwszy na zwłoki świętej pamięci nieodżałowanego denata – zadławienie kęsem pożywienia w czasie konsumpcji. To się czasami zdarza, annały to notują. Nie dostrzegam tu działania osób trzecich. Przekazuję wyrazy serdecznego współczucia wszystkim związanym ze zmarłym.

Obecności policjantów pan prokurator nie zauważył ani też o nic ich nie zapytał, choć obaj stali dwa metry od niego. Zignorował również fakt, że brzydula ich przedstawiła i nie zaszczycił O'Mletta i Charuja nawet uważniejszym spojrzeniem.

– A pan prokurator, przepraszam uprzejmie, z której prokuratury? – spytał aspirant, gdy prawnik już wychodził z saloniku.

Prokurator spojrzał na niego jak na pluskwę i po raz pierwszy od początku wizyty, wzruszył ramionami i wyszedł bez słowa.

– Parso olbżimi vip – powiedział O'Mlett.

– Musiał przyjechać z daleka, skoro tak długo jechał. Może z Krakowa albo na przykład z Katowic – również półgłosem odrzekł Charuj.

– To w Warszawie prokuratury nie ma?

– Jest, ale nie całkiem adekwatna. Cichcem kierowana przez fałszywego ministra sprawiedliwości z brzydkiej koalicji złożonej z samych ułamkowych inteligentów.

Kancelaryjna miss powróciła tymczasem do saloniku i oznajmiła:

– Pan prokurator będzie chciał rozmawiać z panami.

– Parso nam pójemne – odrzekł O’Mlett – a panowie bodygardy, co tu byli w czas śniadania gdzie są? Ćeba żeby oni mówili co widźeli, yes?

– Było tu dwóch, bo trzeci akurat wyszedł, ale oni nic nie widźeli – zapewniła ich brzydula.

– Lasiego? Stali hir, paćili i nie wydzeli?

– Bo jeden przebywał w szafie, a drugi pod stolikiem na zastawę.

– Łot? – Zdziwienie komisarza nie miało granic.

– Pani minister nie życzyła sobie, żeby pan ambasador odniósł wrażenie, że jest inwigilowany, więc z jej polecenia mieli być niewidoczni. – Urzędniczka powiedziała to tak spokojnie i bez cienia zażenowania, że komisarz uznał takie postępowanie za normalną, stosowaną tu praktykę. Charuj wszelako nie wytrzymał:

– Mieli być niewidoczni? Chyba nie dosłownie! Być niewidocznym w takiej sytuacji to nie absorbować nikogo swoją obecnością, a nie chować się w szafie albo pod stół!

– Proszę nas nie pouczać! – zdenerwowała się brzydula. – Tu obowiązują zastrzone zasady w kwestii bezpieczeństwa, może nareszcie pan to zrozumie!

– I w myśl tych zasad pani ludzie siedzą pod stołem zamiast ratować ofiarę? Kto wezwał lekarza?

– Ksiądz kapelan.

– A kto wezwał księdza?

– Chyba pani minister raczyła osobiście... Co to ma do rzeczy, kto! Doprawdy, pytania panów całkowicie odbiegają od tematu!

– Chcielibyśmy porozmawiać z lekarzem – Charuj postanowił nie ustępować.

– Doktora Rzęcha nie ma. Wyjechał. Udał się w podróż służbową.

– Akurat teraz, gdy pacjent mu nagle zszedł z tego świata?

– Podróż była wcześniej zaplanowana... a poza tym dość już tego zajadłego indagowania! Niech się panowie skoncentrują na zadaniach, a nie na jakiejś wojnie podjazdowej! – Brzydula postanowiła zdecydowanie przeciąć zdroźną dociekliwość Charuja i uchylić się od dalszych pytań. – Pan prokurator na panów czeka!

– Już idziemy – odrzekł aspirant, – A może powie nam pani, tak dla porządku, jakiemu wydarzeniu było poświęcone to uroczyste śniadanie z panem ambasadorem?



– Parafowaniu umowy o zakupie niezbędnej ilości kamienia węgielnego.

Oczy Charuja przybrały kształt niemal kwadratowy. Urzędniczka zauważyła to i wyjaśniła jak przedszkolakowi, z pobłażliwością w głosie: – Przy podejmowaniu licznych prac budowlanych, nowych obiektów, stadionów, autostrad i mostów, poświęcany kamień węgielny jest nieodzowny, a jak pan zapewne wie, takowy u nas nie występuje, więc musimy go kupić. Rząd tego nie robi, choć powinien, a ktoś przecież musi. I co w tym niezrozumiałego, że się pan tak dziwi?

– Aha. My już teraz wsisko topsie rozumemy, parso dzenkuję pani – O'Mlett odpowiedział za kolegę widząc, że ten w dalszym ciągu przebywa w stadium ekstazy.

Prokurator czekał w sali obok. Stał podparty pod boki i rozmawiał z karłowatym szambelanem, którego poznali już bezpośrednio po przyjeździe. Gdy ich ujrzął, to wycedził bez wstępu, ledwie otwierając usta:

– Przejmuję śledztwo. Jakies tam te całe wasze ustalenia, ten, tego, ewentualne, do mnie dać na piśmie i to będzie na razie wszystko! Teraz nie macie tu co robić.

Niski wzrostem dostojnik towarzyszący prokuratorowi bez słowa kciukiem wskazał im drogę do wyjścia.

Cóż było robić, ukłonili się i wyszli.

W komendzie z miejsca zameldowali się u podinspektora Przeziąga. Ten popatrzył na nich z dezaprobatą, westchnął jak wieloryb z dychawicą oskrzelową i zapytał z rezygnacją w głosie:

– No i coście, panowie, narobili?

Na zdziwione spojrzenie O’Mletta dodał równie ponuro:

– Są skargi na was, że prowadzicie jakąś własną politykę zamiast rzeczowo trzymać się procedur.

– A w czym pobłądziliśmy? – spytał Charuj.

– No, wprowadzacie bałagan, dezorganizujecie pracę kancelarii, czepiacie się ludzi nie wiadomo o co bez związku ze sprawą i w ogóle... Zresztą mam tu nagranie z dzisiejszego dziennika telewizyjnego, popatrzcie sobie.

Tu podinspektor włączył kasetę do magnetowidu i po chwili na ekranie ukazała się twarz znanej prezenterki. „Z pałacu otrzymaliśmy przed chwilą pilną wiadomość” – zaanonsowała grobowym głosem – „Dziś w godzinach przedpołudniowych, jak donoszą najwyższe czynniki, dokonano, szczęśliwie nieudanej, próby zamachu na życie ministra w czasie wykonywania czynności służbowych. Nazwisko osoby poszkodowanej dla dobra śledztwa nie może być na razie ujawnione. Stołeczna policja wykazała się całkowitą indolencją, wobec czego śledztwo przejęło CBS i prokuratura w Psiej

Wólce. W kręgach zbliżonych do ofiary panuje przekonanie, że był to zamach terrorystyczny zorganizowany przez tchórzliwe i nieodpowiedzialne indywidua lumpeninteligentkie i łżeelitarnie, żerujące na przychylniej im, zakłamaniej w swej nieudolności pseudopolityce rządowej. Prokurator prowadzący sprawę zapewnia, że gorący trop doprowadzi w najbliższym czasie do pełnego ujawnienia sprawców zbrodni i obnażenia ich ohydnych motywów.”

– No i jak to się wam podoba? – ponuro spytał podinspektor.

– Kompletna bzdura – warknął Charuj, uderzając pięścią we własne kolano.

– Mówiłem wam, panowie, żebyście nie podejmowali żadnych radykalnych decyzji i dmuchali na zimne, ale nie mówiłem, żebyście w ogóle nie działali, a tu, popatrzcie, „indolencja policji”. Co wyście właściwie tam robili? Ja sam, na czuja, podostałem wam ekipę na zabezpieczenie dowodów. Czemu nie dzwoniłście do mnie, jeżeli mieliście wątpliwości?

– Dzwoniłem, ale zagłusali maj komórka – spokojnie stwierdził O’Mlett – a za ekipę parso dzenkujemy, bo teraz laboratory w komenda może pśigładacz temu śledziu.

– Kazali nam siedzieć i czekać na podpisanie protokołu, który sami napiszą. No to chyba dobrze, że usiłowaliśmy zbadać sprawę. Na początku to nawet nie chcieli pokazać nam zwłok. Ledwie

wydusiliśmy od nich listę świadków, i też nie wiemy, czy prawdziwą! – Wypalił Charuj.

– No i co? Pokazali wam denata?

– Pokazali, ale stwierdziliśmy tylko, że to najprawdopodobniej nie był cyjanek, ale równie dobrze mogła być jakaś inna trucizna. Teraz są takie środki, że mózg staje. Ze szczątkowych zeznań wynika, że ratowała go najpierw ta minister, później ksiądz, a na końcu dopiero lekarz, który zresztą podobno zaraz wyjechał w jakąś pilną podróż służbową. Nawet nie czekał na zabranie ciała przez sądówkę. Nie wydaje się to panu dziwne? Jak wspomnieliśmy o sekcji, to wskoczyli na nas, że nikt się na to nie zgodzi. Zażądaliśmy taśm z kamer i z nasłuchu, to wciskali nam świeży kit, że niczego takiego nie ma. Chyba dziecko im uwierzy, ale nie ja!

– A ochrona jakaś to tam była? – Podinspektor miał coraz bardziej okrągłe oczy i coraz intensywniej chował głowę we wzniesione ramiona.

– Zdaje się, że była, ale siedziała podobno w szafie i pod stołem. Przeciąg parskał śmiechem, ale opanował się wobec powagi sytuacji. – Że co proszę? – zapytał niepewny tego, co usłyszał.

– Tak wynika z relacji tej damy, co nas cały czas holowała – wyjaśnił Charuj widząc w reakcji przełożonego wielki ładunek

niedowierzania. – Uświadomiła nas, że pani minister nakazała ochronie, aby była niewidoczna, a oni zrozumieli to podobno dosłownie.

– Paranoja... powiedział szeptem podinspektor i zamilkł na dłuższą chwilę. – A czy wy przypadkiem nie koloryzujecie? – dodał po minucie, gdy trochę ochłonął.

– Jak bonie dydy! Czestnoje komsomolskoje! Opiszemy to wszystko w raporcie ze szczegółami i podpiszemy się pod tym wotami, czytelnie, imieniem i nazwiskiem, z datą i godziną!

Wieczór i połowa nocy upłynęła O'Mlettowi i Charujowi na pisaniu raportu z czynności, a rankiem w komendzie pojawił się ściągnięty pilnie z sanatorium inspektor Strzypiur. Gotowy raport z miejsca znalazł się na jego biurku i oficer, odetchnąwszy po podróży, zagłębił się w jego lekturę.

Sekretarka, która obserwowała go, od czasu do czasu wchodząc do gabinetu pod jakimś pretekstem, była wyraźnie zaniepokojona stanem zdrowia szefa, gdy ten, trzymając się za koszulę na wysokości serca, coraz łapczywiej chłonął czarne rządki liter, przewracał kartki tam i z powrotem i wydawał jakieś dziwne jęki i pomruki.

O'Mlett z Charujem siedzieli u siebie w pokoju jak na szpilkach, pili piątą kawę i po raz setny omawiali treść sformułowań, jakich użyli opisując wydarzenia z poprzedniego dnia.

– Kurza twarz, czy nie za ostro opisaliśmy tę rozmowę z prokuratorem – niepokoił się Charuj, czuły na punkcie poprawności kontaktów z wymiarem sprawiedliwości.

– Jaki rozmowa? – uspokoił go komisarz – Nie ma żadny rozmowa! On mówy, my słucha. Ci ty cosz rozmawia do prokurator? Nic. On mówy, ty słuchaś jak śwyń gźmota!

– Cholera, że też my zawsze musimy wdepnąć w politykę. Przedtem o mały włos nie poleciliśmy przez tego senatora Fafuśnika, a teraz znowu jakiś wysoko postawiony nieboszczyk!

– Fafusznik bił gangster, a ten normalny gruby ryb. Tam biło szedem trupów jak w jakim Hamlecie, a tu tylko jeden. Nie ma żaden strach.

Charuj uśmiechał się, ale niepokój w nim pozostał. Zbyt dobrze znał zależności i uwarunkowania rządzące polskim piekiełkiem politycznym, aby przechodzić do porządku dziennego nad taką nieprzejrzystą sytuacją, w której brodził nie widząc horyzontu. Zazdrościł O'Mlettowi, który brał rzeczy takimi, jakimi są i nie szukał czarnego kota w nocy i we mgle nie mając pewności, że ten kot w ogóle tam jest.

– Co ma być, to będzie. Kismet! – stwierdził z rezygnacją.

– Có to kismet? – Spytał O'Mlett.

– Los, przeznaczenie. Zdaje się, po arabsku. Takie ke sera, sera.

– Aha. Parso ślicznie.

Inspektor wezwał ich dopiero koło południa. Usiadł za biurkiem i popukał palcem w leżące przed nim kartki raportu.

– Wiecie, rozumiecie – powiedział z westchnieniem – przeczytałem toto i zastanawiam się, czy wyście rzeczywiście to widzieli i słyszeli, czy to tylko jakaś bajka. W każdym razie jak dziennikarze zaczął drążyć, to ja im tego raportu nie pokażę ani nawet nie powiem o jego istnieniu, bo rozpęta się piekło. Tak, wiecie, rozumiecie, nie może zostać. Wracajcie do siebie i piszcie lepiej od nowa, ale tylko fakty. Rozumiecie? Fakty! Żadnych tam takich różnych...

– W auer riport som fakty! Only! Nie som take różne, ser! – z mocą powiedział O'Mlett.

– I ja mam uwierzyć, że faktem jest, jakoby ofiarę ratował ksiądz, a nie lekarz? Albo że ochrona siedziała w szafie i pod stolikiem i nawet nie wylazła, jak się facet dusił? Albo że na prokuratora czekali tam trzy godziny z okładem, bo jechał z jakiejś dziury? Wy się, wiecie, rozumiecie, lepiej zastanówcie!

– Myśmy tego nie wymyślili, tak nam powiedziała urzędniczka, a prokuratora na własne oczy zobaczyliśmy dopiero po trzech godzinach, a i to nie chciał z nami gadać – zareplikował Charuj.

– I co? I myślicie, że ona to potwierdzi? Chyba na głowę upadliście! Nawet jak powiedziała, to wyprze się w żywe oczy, a ta

wasza pisanina zostanie i to my wyjdziemy na głupków. Albo jeszcze gorzej, na mącieli politycznych! Wiecie, rozumiecie, jakie sprawy się nie tkniecie, to wam z niej wychodzi albo jakiś gangster albo kompletny idiota! Wracajcie i ewentualnie opiszcie, ale tylko fakty! I żadnych rozmów z dziennikarzami! – dorzucił, gdy już byli w drzwiach.

Cóż było robić, wrócili i siedli do pisania. Zaparzyli sobie szóstą kawę, a Charuj myślał intensywnie gryząc ołówkę, bo nie ryzykował pisania na komputerze.

– Jeszcze ktoś nam wymontuje twardego dysku i będzie chryja – wyjaśnił O'Mlettowi, gdy ten zapytał, czemu utrudnia sobie pracę.

– Charuj, jak po polsku będzie cyrkus? – spytał komisarz.

– Tak samo. Cyrk. A po co ci wiedzieć?

– Bo ja myślę, jak nazywać nasza dżob... znaczy robienie.

– Dopiero teraz się zastanawiasz? Po roku pobytu?

– Każdy w początek jest gupi, a po jakimś czasie mądrzej.

– Mądrzej – poprawił aspirant.

– Yes. Mądrzej, ale nie dużo. For egzempl ja dalej nie rozume, jakie fakty cieba pisać, żeby były one fakty?

– Ja też nie bardzo rozumiem – zastanowił się Charuj. – No bo tak po kolei: Faktem jest, że tam w ogóle przyjechaliśmy. Faktem jest, że czekaliśmy trzy godziny, ale, zdaniem inspektora, już nie



jest faktem to, na co czekaliśmy. Faktem jest, że pokazali nam trupa i ten salonik śniadaniowy, ale już nie jest faktem to, czego się dowiedzieliśmy o przebiegu wydarzeń. Faktem jest, że przyjechał prokurator, ale już faktem nie jest kiedy przyjechał i co mówił. Faktem jest powiadomienie nas o istnieniu ochrony, ale, według inspektora, nie jest faktem to, że podobno siedziała w szafie. No i w końcu faktem jest, że wezwano lekarza, ale już nie jest faktem tylko bajką, że przed lekarzem wezwano księdza, a lekarz zniknął przed pojawieniem się prokuratora. Krótko mówiąc same, czyste fakty to informacja o tym, że przyjechaliśmy, czekaliśmy trzy godziny, pokazano nam zwłoki i salonik, powiedziano, że wezwano lekarza, przybył prokurator i wyjechaliśmy. Razem to jedno zdanie, niecałe ćwierć strony maszynopisu! Nie wiem, czy jest faktem czy nie jest, że prokurator przejął śledztwo, a nas wygonił, bo to, zdaniem inspektora, też może być naszą wadliwą interpretacją rzeczywistości. Kurcze blade, głupi jestem! Według niektórych filozofów całe nasze istnienie to iluzja, a nie żaden fakt. Wszystko się nam tylko wydaje, nawet to, że teraz pijemy kawę i oparzyłem się w język!

– A może inspektorowi w ogóle nie ęba żaden raport? On powe-dział „ewentualnie same fakty”. Ewentualnie znać może być, może nie być. Ci ja topsie myszle? – O’Mlett potraktował reprimendę

dużo mniej emocjonalnie niż aspirant, przyzwyczajony widocznie do dziwnych wyskoków ze strony przełożonych.

– Jeżeli masz rację, to ja stawiam wielkie pół litra pod kołduny w rosole, ale na razie musimy przyjąć jakąś taktykę!

– Topsy, Charuj, ja pójdę pogadacz z czif, pokazywać fakty ci nie fakty, ale jutro rano. Dzisiaj maj mózg nie topsie myszli. Okej?

Odprężyli się i uspokoili, a inspektor jakoś ich nie ponaglał ani nie wzywał do końca dnia. Sekretarka mówiła, że siedzi u siebie i na nikim się nie wyżywa, wyglądało więc na to, że też nie przejął się zbyt politycznie niebezpiecznym uszczegółowieniem raportu.

Telewizyjny dziennik wieczorny podał informację o zdarzeniu dokładnie tej samej treści, co dziennik poranny, dla ubarwienia wyemitowano tylko dodatkowo kilkunastosekundowy wywiad z jakimś młodocianym rzecznikiem od czegoś tam, który oczywiście uciekł od tematu i filozofował tak zawile, że poza inwektywami w kierunku rządu w zasadzie niczego konkretnego nie powiedział, mimo usilnych starań ze strony dziennikarza.

Rano okazało się, że inspektora nie ma i nie będzie, bo powrócił do sanatorium, wobec czego wyjaśniająca wizyta O'Mletta straciła sens, jako że nie było komu jej składać, bo zastępujący go podinspektor Przeciąg ani ich nie wzywał ani też nie żądał żadnej korekty raportu.

Sprawa przyjęła zresztą całkiem inny obrót, gdy dziennik południowy TV podał, że prokuratura rejonowa w Psiej Wólce przekazała sprawę prokuraturze warszawskiej, a ta zamierza zintensyfikować śledztwo. Nie wspomniano przy tym ani słowem o CBS, więc trudno było wyczuć, czy rzecz wróci do policji, czy też zajmą się nią jakieś inne czynniki. Co prawda ten sam rzecznik od czegoś tam, który występował we wczorajszym dzienniku telewizyjnym, tym razem dokładnie opluł wszelkie niekompetentne organa, które zamierzają celowo i złośliwie sabotować i działać wbrew, ale nie wyjaśnił, kogo ma na myśli. Tak więc O'Mlett z Charujem nie poczuli się zagrożeni z żadnej strony.

Do następnego poranka nic się nie działo, nie licząc awantury o ciężkie znieważenie przez policję synka jednego wybitnego działacza, który swoim audi rozwalił po pijanemu trzy samochody, uciekał przez pół miasta i zamierzał przejechać policjanta. Działacz pieknieł się, że synek jest niewinnym aniołkiem, zaszczytnym przez żadnych krwi trzech stójkowych, którzy się na niego uwzięli, przez co ohydnie naruszyli prawo i sprawiedliwość.

Na naradzie u komendanta po dyskusji ustalono, że policjant powinien dać się przejechać, a jego koledzy mieli obowiązek delikatnie złowić sprawcę w sieć i dyskretnie odwieźć go do domu, a teraz nie

pozostaje im nic innego, jak tylko serdecznie przeprosić i podać się do dymisji.

Sprawa z synkiem działacza odsunęła na dalszy plan przypadek tajemniczej śmierci pana rzecznika Plaplaka w trakcie konsumowania śledzia w śmietanie. Rzeczą dotyczyła drogowki, więc O'Mlett z Charujem uczestniczyli w sprawie jedynie duchem, rozważając w czterech ścianach swojego pokoju wszelkie aspekty postępowania w podobnych przypadkach.

– W Stanach poulis musowo śćela w opony taki goszcz, łapi go i do sing-sing, a jutro dżadz dawa jego tu jers odszadki. A tu?

– A tu zależy, czy facet jest z partii rządzącej czy z opozycji.

– A jak z opozycji, to co? – dociekał dalej komisarz.

– To zależy, z której opozycji. Z prawicowej czy z lewicowej.

– No, for egzampl, lewysowy?

– To bez gadania ma proces i albo z miejsca idzie siedzieć, albo w drodze łaski dostaje w zawieszeniu i nęka się go przez parę lat – wyjaśnił Charuj.

– A z prawysowej opozycji nie ydze szedzieć?

– Nieee! Wtedy jest wielki szum i zaczyna się wojna na wszystkich szczeblach. Zresztą sam widzisz, teraz jest właśnie taki przypadek.

– Biutiful! Sam roskość. Cili u was najlepsi być w opozycji na prawo, yes?

– Yes. Ten nasz nieboszczyk, ten rzecznik Plaplak jest z prawicowej opozycji i widzisz, co się dzieje? Nawet nie dali ci świadków przesłuchać.

– Ja piersi raz widzem, żeby prezydent w jakim kraju bił w opozycji do własny rząd – z pewnym zdziwieniem podsumował O'Mlett. – No, może gdzie w sentral Afrika, co ony mają oll tajm siwil for... znać wojna w domie.

– Domową – poprawił Charuj – wojnę domową. Ale u nas nie ma wojny domowej tylko jest zwyczajne rozdwojenie jaźni w ramach dwuwładzy. Taka demokratyczna schizofrenia.

Zgorzknienie i najgorsze przewidywania aspiranta nie znalazły wszakże odzwierciedlenia w dalszym przebiegu wypadków, bo zadzwonili z laboratorium, że toksykolodzy nie znaleźli niczego zdrożnego w śledziku ani w śmietanie i jutro prześlą wyniki badania. Zaraz po nich zadzwonił prokurator, któremu przekazano sprawę, i umówił się z O'Mlettem na rano. Komisarz oczywiście poinformował, że zabierze ze sobą Charuja, na co uzyskał zgodę. Wyglądało więc na to, że sprawa drgnęła i zamierza ruszyć z miejsca.

– Szefie, a zabierzemy ze sobą ten pierwszy raport ze szczegółami, czy będziemy relacjonować na gębę? – lekko zaniepokoił się Charuj. – Ja nie znam tego prokuratora, nie wiem jak zareaguje. Jest nadzieja, że skoro dostał sprawę po tym poprzednim z Psiej

Wólki, to może nie będzie z niego taki zakapior, bo po co by ci na górze zmieniali siekierkę na kijek.

– Ja jestem polisjant, a nie polityk i nicęgo nie ukrywuję! – twardo stwierdził O'Mlett – dla mnie obojętno, szekierka ci kijek.

W południowych wiadomościach telewizyjnych, wśród relacji z wygłupów różnych postów na komisjach sejmowych, nadało krótką wypowiedź o tym, że przekazanie śledztwa w sprawie śmierci rzecznika Plaplaka jest bezprecedensowym zamachem na jedynie słuszną linię działania niezależnej prokuratury i dowodzi głębokiej pogardy dla prawa, jakiej notorycznie dopuszcza się niekompetentny minister sprawiedliwości. Wypowiadający się znawca tematu był przy tym przekonany, że te wszystkie małpie ruchy mają na celu ukrycie prawdziwych przyczyn zdarzenia i dowodzą degrengolady kół rządzących, co jest oczywistą oczywistością dla całego społeczeństwa bez wyjątku.

W związku z tym, że podinspektor Przeciąg nie odzywał się od dwóch dni, a prokurator zadzwonił bezpośrednio do O'Mletta, doszli do wniosku, że mimo kontrowersji z raportem nikt im śledztwa nie zabrał i mają prawo postępować według własnego uznania. Na przełożonych widocznie nie robiły dużego wrażenia komentarze telewizyjne, skoro nie przejawiali jakiejś nadmiernej aktywności. Sprawa z synkiem działacza, który chciał przejechać

policjanta, też jakoś przycichła. Widocznie tatuś wystął go gdzieś poza bezpośredni zasięg polskiej jurysdykcji i zadbał o to, by nie sprokurowano listu gończego.

Następnego dnia rano O'Mlett z Charujem pojechali do prokuratury. Osobą, której zlecono tę sprawę, okazał się prawnik w średnim wieku, grzeczny i opanowany, nie sprawiający wrażenia nawiedzonego naprawiacza świata. Przywitał się z nimi normalnie, bez podkreślania, że mają przyjemność obcowania z bojownikiem za sprawę, i ciekawie przyjrzał się O'Mlettowi, o którego pochodzeniu miał niewątpliwie informację.

– Cześć – powiedział sadzając ich naprzeciwko swojego biurka. – Wy, panowie, byliście tam bezpośrednio po wydarzeniu, a ja nie byłem, więc wy coś wiecie, a ja nic, bo to, co przekazał mi poprzednik, to jest, że tak powiem, moim zdaniem średnio wiarygodne. Oczywiście, mogę się mylić.

Policjanci spojrzeli na siebie, porozumieli się wzrokiem i komisarz wyciągnął z kieszeni pierwszą, niepoprawioną wersję raportu, którą bez słowa przekazał rozmówcy. Ten zagłębił się w treść dokumentu i w miarę czytania brwi podnosiły mu się coraz wyżej, a w kącikach ust błąkało się coś na kształt uśmiechu Giokondy.

– No tak... – powiedział odłożywszy papiery na biurko. – Ten opis określa sposób postępowania gospodarzy tego obiektu,

a nie wyniki śledztwa pierwiastkowego. Wynika z tego, że panów w ogóle nie dopuszczono do jakichkolwiek czynności! A wasza ekipa zebrała ze stołu te różne dania?

– Szczęśliwie zebrała, szczególnie tego śledzia. Toksykologia twierdzi, że nie ma w nim nic trującego. – Charuj odpowiedział w imieniu ich obu.

– Lekarza nie przesłuchaliście?

– W ogóle go nie widzieliśmy, bo podobno wyjechał. Być może jeszcze przed naszym przybyciem, ale żadnej pewności nie mamy. Jedynym świadkiem, któremu zadaliśmy parę pytań, był jeden z dwóch kelnerów. Z tego też pewnie nic by nie wyszło, gdyby nie to, że raptem zabrał się do pospiesznego sprząwania ze stołu, co udało nam się zauważyć. Cała reszta informacji pochodzi od urzędniczki, która nas cały czas pilotowała.

– Tak, od pani wiceminister Safandulec – Prokurator przybliżył im postać brzyduli, którą znali dotychczas tylko od strony werbalno-wizualnej.

– Ta rozciochrana pani to też mynyster? – Zdziwił się O'Mlett.

– Tam każdy jest dożywotnio co najmniej wiceminister – półgłosem warknął Charuj – a jak tytułarnie nie jest, to będzie. A we Francji, na przykład, to każdy starszy śmieciarz na wizytówce ma napisane „dyrektor”.



– No to teraz musimy ocenić, co z relacji pani minister Safandulec jest prawdą, a co konfabulacją wypowiedzianą w stresie lub na skutek emocji. – Prokurator postanowił podchodzić do sprawy ostrożnie, ale nie zarzucił policjantom nadinterpretacji jej wyznań.

– Jakich emocji? Ona była żymna jak ajsberg!

– Ludzie różnie reagują. – mitygował prokurator.

– I psie to reagowanie czy godziny nie dała nam widzieć trupa i mówiła, że jego wzięli aut? Co? Nie wedzała, że nie wzięli do autopsy i on tam dalej leżuje?

Prokurator uśmiechnął się, bo rozbawił go język komisarza.

– A te listy świadków dostarczone przez minister Safandulec panowie mają?

– Oczywiście. Chronimy je jak relikwię. – Tu aspirant wydobyl z teczki dwa wydruki komputerowe i podał prokuratorowi. Ten przyjrzał się im dokładnie i stwierdził:

– Brak nazwisk księdza i lekarza, ale w raporcie panowie piszą, że pani minister Safandulec przy jakiejś okazji powiedziała wam, że lekarz, to doktor Rzęch? To prawda?

– Prawda. Powiedziała to jeden raz, gdy chcieliśmy rozmawiać z doktorem.

– Z ustaleniem personaliów księdza chyba nie będzie kłopotów, wątpię, aby było tam kilku księży na etacie – zauważył prawnik,

– a jeśli chodzi o doktora, to wiem, że jest specjalistą od zaburzeń żołądkowo-jelitowych i został pilnie wezwany do kurortu nad morzem. Natomiast ksiądz jest osiągalny.

– Pewnie tak, ale wątpię, aby udało się komukolwiek go przesłuchać. W pojęciu ogólnospołecznym w Polsce przesłuchiwanie księdza to poważny nietakt, a pałacowego kapelana, to już w ogóle co najmniej zbrodnia.

– Mam nadzieję, że jakoś sobie poradzimy. – Prokurator tą wypowiedzią przejawiał, zdaniem Charuja, zbyt duże zaufanie do powagi swojego urzędu.

– Oby, chociaż wątpię.

– Zobaczymy. Na początek oficjalnie wezwijcie panowie te wszystkie osoby z obsługi i przesłuchajcie na okoliczność tego zdarzenia. Zresztą co wam będę mówił, sami wiecie. Wezwania lege artis z terminami, zaznaczeniem, w jakim charakterze i tak dalej. I żeby były czytelne i żadnej kropki nie brakowało. Zaplanujcie sobie parę godzin na każdego ze świadków, żeby nie wzywać wszystkich na kupę i niech się wypowiedzą co do minuty z tamtego dnia. Dobra?

Wizyta u prokuratora podbudowała O'Mletta na duchu. – Może on jest normalny ćłówek, jak ty myślisz, Charuj?

– Zachowuje się racjonalnie i logicznie. Świra na żadnym punkcie chyba nie ma. A w ogóle to nie znam człowieka, pierwszy raz go widziałem.

Przygotowanie wezwań na przesłuchania napotkało na rozliczne trudności. Po pierwsze ustalenie miejsc zamieszkania poszczególnych świadków w stosunku do niektórych z nich okazało się barierą nie do przeskoczenia, a po drugie kolejnym szlabanem stał się immunitet. O wezwaniu pani minister Wanny Framugi w ogóle nie mogło być mowy, jak również obu panów Moher-Berettów i pani Marzenny Frykas-Ciepły, szefowej kuchni w randze wiceministra. O tej ostatniej dowiedzieli się tylko tyle, że z zawodu jest archeologiem śródziemnomorskim, a kuchenne stanowisko pełni jedynie tytularnie, coś na kształt królewskiego podstolego w Pierwszej Rzeczypospolitej, adoptowanego w Czwartej przez szacunek dla tradycji.

Przesłuchanie pracowników ochrony też okazało się niemożliwe, bo ich działalność jest tak super ściśle tajna, że o żadnych kontaktach z nimi nie może być mowy.

Ksiądz kapelan odpowiedział, że na jakieś tam przesłuchania nie zamierza się stawiać, bo interesują go wyłącznie sprawy duchowo-moralne i nie ma zamiaru uczestniczyć w postkomunistycznej pyskówce, natomiast doktora Rzęcha zwyczajnie nie udało się

odszukać, gdyż od czasu udania się w podróż służbową miejsce jego pobytu nie jest znane.

Praktycznie więc pozostały do przesłuchania tylko dwie osoby, a mianowicie asystentka szefa kuchni, pani Apolonia Ciapul i starszy kelner podający do stołu feralnego dnia, pan Miłosław Kibitka. W stosunku do nich udało się ustalić miejsca zamieszkania i wysłano im pocztą druki oficjalnych wezwań.

Prowadząc rozmowy wstępne z panią wiceminister Safandulec komisarz O'Mlett, niejako przy okazji, usiłował ustalić, co Biuro Zapobiegania Nieplanowanym Poślizgom Na Powierzchniach Poziomych ma wspólnego z kamieniem węgielnym, którego zakup pilotowało organizując uroczyste śniadanie z udziałem ambasadora. W trakcie dyskusji został pouczony, że w ramach oszczędności etatów ministerialnych nie powołano osobnego biura do spraw kamienia węgielnego, wobec czego transakcję zlecono biuru zajmującemu się wszelkim innym kamieniem, takim jak ciężkie kamienie obrazy, alabaster sedesowy, marmur pomnikowy poświęcany i zwyczajny, czy też granit chodnikowo-posadzkowy zimny lub podgrzewany.

Czas pozostający do planowanego momentu przesłuchania pierwszego świadka O'Mlett i Charuj poświęcili na ustalenie zasadniczych tez śledztwa. Po dyskusji postavili sobie cztery

podstawowe pytania, do uzyskania odpowiedzi na które postanowili dążyć:

1. Czy istniało w jakiegokolwiek formie działanie mające na celu pozbawienie życia lub zdrowia kogokolwiek z uczestników śniadania, i to w zamiarze zarówno bezpośrednim jak i ewentualnym, ze szczególnym uwzględnieniem osób minister Framugi i ambasadora.

2. Jakich środków użyto do tego celu, w czyjej gestii pozostawały te środki i jak sprawca wszedł w ich posiadanie.

3. Kto tego dokonał, z czyjej inspiracji i w zamian za co.

4. Jeżeli odpowiedzi na pierwsze trzy pytania będą negatywne, to czy wydarzenie mogło mieć miejsce w wyniku nieświadomego działania lub przypadku.

Następnego dnia prokurator powiadomił ich telefonicznie, że po długich i ciężkich cierpieniach wymusił wykonanie sekcji, choć odpowiednie czynniki zabierały się już do organizowania uroczystego pogrzebu z udziałem trzech biskupów, orkiestry, asysty wojskowej, salwy honorowej z dwudziestu czterech dział i przelotu sześciu myśliwców F-16 w szyku żałobnym.

– No to przestaną nam wciskać świeży kit, że się facet udławił wielką ością ze śledzika w śmietanie. Taki bajer to na Grójec. – Rzeczowo stwierdził Charuj.

Sekcję wykonano następnego dnia. Nie wykazała żadnych zmian w sercu ani w mózgu wskazujących na udar, stwierdzono natomiast objawy uduszenia, obrzęk przełyku z uciskiem na krtań przy jednoczesnym braku jakichkolwiek ciał obcych mogących być jego przyczyną. Prowadzone są jeszcze badania toksykologiczne w poszczególnych organach i oceniana jest ewentualna reakcja na alergeny, ale na wyniki trzeba poczekać kilka dni. W konkluzji anatomopatolog wyraził pogląd, że w czas podane środki drażniące, szybka intubacja lub w ostateczności rurka tracheotomiczna prawdopodobnie uratowałyby życie ofierze.

– No to my dalej gupie – podsumował to O’Mlett. – Bo że oszcz, co się temu śledzi urwała akurat ofiarowi w psiętyk, to ja nie wierzę! W koncu to był śledź, a nie weloryp! Skoro doktor nie znajdywa zawała sercowego ani w jego psiętyk nie szedzi żaden korek, na psikład od butelki, to od ciego on umera? Od szmietany?

– Pięknie to wyraziłeś, szefie! Coraz lepiej mówisz po polsku.

Asystentka szefa kuchni, pani Apolonia Ciapul stawiała się na przesłuchanie w terminie co do minuty. O’Mlett ujęty jej punktualnością nie kazał jej czekać bo uznał zmiękczenie tego świadka za niecelowe, jako że śledzik nie zawierał żadnych trucizn, a ona sama nie mogła przewidzieć nietypowej reakcji ofiary.

– Dzeńtopry pani – powitał ją układnie O i usadził na krześle naprzeciw swojego biurka. – Będzie pani psiestuchowana w charakteru szwatka na okoliczność zgonu w czas śniadania pana rzeźnika Plaplaka. Ja prosie swoimi słowami, co pani wi?

– A co mam wiedzieć? Nic nie wiem! Dopiero jak kelner przyłeciał z gębą, że się ktoś ością udławił, to mi serce pod gardło podeszło! – Tu kobieta chwyciła się za wydatny biust, podciągając go sobie pod podbródek.

– A w tego śledzia oszczy były?

– Gdzie tam! Sama go ze słoika wyjmałam, każde jedno dzwonko oddzielnie, nie mieli prawa być żadne ości!

– Świeże śledzie do śmietany były w słoiku? – Zainteresował się Charuj, przyzwyczajony do śledzi na tacce.

– Tak, bo byli lekko marynowane. Ciut z octem. Świeżych nie mieliśmy, a było polecane, żeby natychmiast, to co? Mieliśmy la-tać i kupować? Wzięłam jakie były i z głowy.

– A śledzia koniecznie w śmietanie kto kazał robić?

– Podobnież pani minister sama układała co ma być, żeby było całkiem po polsku i z rybami, bo to piątek.

– Kto ma wstęp do kuchni? – zadane przez Charuja ostrym tonem pytanie wyprostowało panią Ciapul na krześle.

– Z ministrów to każda jedna, a z innych ludzi jak która co chce to też wchodzi. Drzwi się na klucz nie zamyka.

– Pani minister Frykas-Ciepły nie jest temu przeciwna?

– Skądże! Jej to ja w kuchni od miesiąca nie widziałam.

– Przecież ona jest szefem – zdziwił się Charuj.

– Jest, ale podobnież co innego robi, ale co, to ja tam nie wiem.

Potwierdziło się więc, że szef kuchni to stanowisko tytularne, jak na przykład szambelan papieski, i wcale nie musi świadczyć o rzeczywistym pełnieniu urzędu.

Dalsze zeznania pani Ciapul nie wniosły niczego nowego, poza utwierdzeniem przesłuchujących w przekonaniu, że natrafili na szczególnie twardy orzech do zgryzienia. Zdaniem O’Mletta przyczyna nagłej śmierci pana rzecznika Plaplaka wcale nie leżała w wątpliwej jakości spożywanej potrawy, lecz w jego stanie zdrowia, na co nie zwrócono dotychczas dostatecznej uwagi.

– Myślisz, że on był pijak albo narkoman? – zaryzykował przypuszczenie Charuj, idąc tropem myśli przełożonego.

– No. Doktor w autopsy nie pokazywa narkotik or alkohola bardzo wiele. Ja myszle, że on totality nie parso zdrowy, że on wcale nie umarł psiez sziadanie, ale psiez jaka choroba.

– Czyli że szlag go trafił akurat w czasie sziadania, to tylko zbieg okoliczności? Możliwe, ale jak na razie nic na to nie wskazuje.



– Ciebie śukać jego heldi kard, znaćci lecienie i wyzyty u doktor.  
– No to przydałby się nam ten doktor Rzęch, ale on siedzi w kurorcie nad morzem. Jest przychodnia przy parlamencie, możemy tam spróbować.

Charuj spróbował. Przychodnia po całym dniu oczekiwania odpowiedziała, że kartę zdrowia, jeżeli w ogóle taki się u nich leczył, może przekazać tylko pacjentowi, bo dane stanowią tajemnicę lekarską.

– Ale ten człowiek nie żyje! – zaoponował aspirant.

– Ale ma rodzinę, która oskarży nas o ujawnienie zastrzeżonych danych i naruszenie dóbr osobistych.

– A gdyby rodzina wystąpiła o przekazanie?

– To dostanie, ale za pisemną zgodą zainteresowanego, chyba że jest to osoba ubezwłasnowolniona.

– Kolera jaśna! Trupa ma siem wam osobyście podpisywać? – Zaryczał O'Mlett do słuchawki.

– Niech się pan nie denerwuje i nie krzyczy! Zresztą o co ta cała wojna? Po pierwsze jeszcze nie wiadomo, czy jakieś dane w ogóle mamy, a po drugie jak macie zwłoki, to niech prokurator każe zrobić sekcję i będziecie wiedzieli!

Charuj walnął słuchawką aż biurko zajęczało.

– Może jak prokurator im każe, to dadzą? – Niepewnie spytał O'Mlett. – A w ogóle to kto z tobą rozmowa? Jakiś ważny vip?

– Nie wiem. Chyba nie, może rejestratorka albo ktoś...

– No to co robimy?

– Nie wiem, pomyślę. Każdy inny lekarz w tej sytuacji by udostępnił, ale ci z takimi egocentrycznymi ważniakami stale mają do czynienia, że dmuchają na zimne. Trzeba chyba znaleźć tego całego doktora Rzęcha i od niego wydusić dane o stanie zdrowia świętej pamięci pana rzecznika. Chociaż z drugiej strony, gdyby doktor o czymś niepokojącym u niego wiedział, to by go może uratował.

– Topsisie. Dzwonimy do doktor, ci on co wi o choroby żećnika!

Charuj zabrał się do dzwonienia, ale po dwóch godzinach zrezygnował. Nie było możliwości nie tylko skontaktowania się z doktorem, ale nawet zdobycia numeru telefonu do ośrodka na Helu, gdzie doktor podobno przebywał. – Co pan sobie wyobraża! – powiedziano mu w kancelarii pałacowej – Że każdy tak sobie może zadzwonić? A skąd my mamy wiedzieć, w jakim celu potrzebny jest panu ten numer! Pan może być z Al-kaidy, albo jeszcze gorzej, na przykład z lewicowej opozycji lub z zakłamanych kół rządowych! Tu wszystko jest bardzo ściśle tajne, a nie tak jak w tej nieporadnej koalicji! Jak doktor wróci, to mu przekazemy, może zgodzi się z wami porozmawiać, ale wątpię!

Dalsze próby zdobycia numeru z innych źródeł też spełzły na niczym, a O'Mlett nie chciał w tym celu alarmować szefów, bo obaj

z Charujem nie mieli pewności, że kontakt z doktorem Rzęchem cokolwiek da.

– Ale twierdza – warknął aspirant po ostatecznym odłożeniu słuchawki – bez drabin i wieży oblężniczej nie da rady.

– Maj houm is maj kestl – sentencjonalnie stwierdził komisarz.  
– Ciebie było powedzieć, że papież chce dzwonicz po łacynie, to daliby namber!

Wieczorny dziennik telewizyjny wśród licznych rewelacji o nieustannych próbach korumpowania połowy społeczeństwa przez drugą połowę i odwrotnie, doniósł, że w Republice Południowego Papugatu nastąpił przewrót wojskowy i władzę objęła junta pod przywództwem sierżanta Wgzbrny'a. W związku z tym należy spodziewać się odwołania z Warszawy ambasadora Republiki, jego eks-celencji pana Coffy Mbrguy'a i innych członków przedstawicielstwa.

– No to z kamienia węgielnego nici i trzeba będzie pod nowe muzea wspaniałych klęsk, budowane za ciężkie miliony, kłaść poświęcany węgiel kamienny, bo tego akurat mamy pod dostatkiem.  
– z pewnym żalem podsumował Charuj.

– Nie wiadomo, może jeście kupycie od tego sierżanta. On teś poćebuje dużo dolary. A jak psijedzie to dodatkowo dostanie śledzia w szmetanie. Charuj, a jak on wigłąda, no... ten kameń wengelny?

– Tego to ja dokładnie nie wiem. Kładzie się i uroczyście zamurówuje. Widziałem, że przy tym wkładana jest jakaś cegła albo tuba, a bywa że i butelka z aktem w środku.

– Butelka z aktem? To jak pošta od piratów! A w środku taka mapa ze skóry małpy i na niej znaki, gdzie jest jaki skarb!

– Nie śmieję się, to poważna sprawa. Żeby później, jak się ta budowla już ze starości przewróci, było wiadomo, kto ją zbudował, kiedy, po co i komu społeczeństwo ma obowiązek być za to wdzięczne.

– A nie pysze, za ile zbudował?

Charuj parsknął śmiechem. – Chyba nie, bo kamień węgielny wmurowuje się na początku budowy, a nie na końcu, więc pewnie i tak wyjdzie pięć razy drożej niż planowano. Nie ważne więc za ile, ważne, z czyjego bardzo mądrego polecenia wywalono na to coś kupę szmalu i dopiero po podliczeniu kosztów społeczeństwo może się dowolnie długo zachwycać.

Przewidziane na następny dzień przesłuchanie starszego kelnera, Miłostława Kibitki, niestety, uległo nieprzewidzianej zwłoce, bo wezwany raptem zachorował. Zapadł na ciężki katar z powikłaniami i zalecono mu kilkudniowe leżenie.

– Ja też mam katar i chodzę – skomentował to O’Mlett.

– Ale ciebie nikt nie chce przesłuchiwać w śmierdzącej sprawie i nie jesteś pałacowym kelnerem w randze co najmniej dyrektora departamentu, z koneksjami tu i ówdzie.

– Ty coś wiesz o jakie koneksje?

– Nic nie wiem, ale zakładam. Przecież niesprawdzonego faceta z ulicy tam by nie zatrudnili, czyli, logicznie rzecz biorąc, ktoś go musiał nadać.

– Ale ty parso podejrzliwujesz, Charuj. – Komisarz uśmiechnął się kwaśno.

– Ależ skąd! Przy każdej zmianie głowy państwa zmienia się cała ekipa w pałacu. To normalne, czemu więc kelnerzy mieliby się nie zmieniać? Każdy chce mieć wyłącznie swoich ludzi na wszystkich stanowiskach. A skąd ma ich wziąć? Ktoś ich musi podsunąć, żeby nie powiedzieć zaprotegować. Jasne? A tam u ciebie, w Białym Domu, to niby jest inaczej?

– U mnie w Uajt Haus myster prezident jest czif od żąt, a nie opozysja! A ja nie polityk tylko poulisjant.

Nadeszły wyniki badań posekcyjnych Plaplaka i wynikało z nich niezbitie, że nie wykryto niczego odbiegającego od normy. W tej sytuacji sprawa stawała się coraz bardziej tajemnicza. Podinspektor Przeciąg zaniepokojony przedłużającym się śledztwem od czasu do czasu naciskał na O'Mletta, ale nie czynił tego zbyt obcesowo,

bo sam czuł się bezradny wobec trudności, na jakie napotykali jego podwładni i trochę winny własnej nieskuteczności. Brak swobodnego dostępu do dokumentów i świadków wybitnie utrudniał normalne działania i podinspektor był tego jak najbardziej świadomy. Szczęśliwie nikt z wierchuszki nie usiłował go popędzać, co i na O'Mletta spływało w postaci wyciszenia rutynowej codzienności, a Charujowi dawało czas na intensywniejsze myślenie.

– Cały czas tak siedzę i kombinuję, – głośno zastanawiał się aspirant – na skutek czego ten facet tak nagle umarł. Może pszczoła albo osa go użarła, ale skąd osa w śledziowej śmietanie? Przecież to nie konfitury. Zauważyłby ją. Poza tym jest zima, okna były zamknięte, bo przecież na uroczystym śniadaniu nie przeziębiliby ambasadora z kraju, w którym cały rok chodzi się na golasa. Gość niczego innego nie jadł, bo ten bankiet dopiero się zaczął, ani też niczego nie pił. Skoro tego śledzia przynieśli z kuchni, to denat mógł zeżreć co najwyżej karalucha, ale one nie są jadowite.

– On sze otruł od atmosfera psijażni i wzajemne zrozumienie.  
– Zażartował komisarz, uśmiechnąwszy się po sugestii na temat kuchennego karalucha.

– To ewentualnie ambasador mógłby się otruć, ale nie rzecznik prasowy! – Charuj odpowiedział dowcipem na dowcip. – Przecież

to właśnie on w ramach czynności służbowych produkował tę atmosferę. Nawet kobra królewska od własnego jadu nie ginie.

– Może cosz biło na ta wikataćka z chorągiewkiem?

– Nic nie było, przecież przebadali razem ze śledziem. Wykałaczką jak wykałaczką, drewnienko i już, nawet nie plastik.

– No to kolera jaśna wi!

– Żeby tak wiedzieć, co ten gość robił przed śniadaniem. Choćby gdyby nawet wcześniej wrąbał coś trującego, to sekcja by wykazała. Pamiętasz, jak otruli tego Ruskiego w Londynie? Dopiero po paru godzinach go wzięto.

O'Mlett wszakże nagle zmienił temat. – Charuj? – zapytał z lekkim niepokojem – Ty lepi znaś swoja maderkantry, ty powiadaj, co będzie jak my tego nie wykryjemy?

Aspirant zamyślił się i odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Pewnie nic nie będzie, bo zwróć uwagę na to, jak oni tam w pałacu bronili się przed poznaniem przez nas kulis tej sprawy. Wynika z tego, że albo z zasady nie lubią jak im patrzeć na ręce, albo może boją się, żebyśmy przy okazji nie wykryli czegoś innego.

– Na psikład czego?

– Nie mam pojęcia, ale gdybyśmy grzecznie czekali i podpisali to, co nam podsuną, to pewnie byłoby po sprawie, a nasz szef dostałby medal. A teraz, jak nic nie ustalimy, to sprawa prawdopodobnie

i tak rozejdzie się po kościach i tylko szef nie dostanie medalu. Chyba że oni chcą przy tej okazji udowodnić, że jesteśmy tragicznie nieudolni i ten brak sukcesu zwalić na rząd. W tym przypadku wsiądą na ministrów spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, no i oczywiście na premiera. Wtedy będzie wojna na dwanaście fajerek, a my będziemy narzędziem w rękach obu walczących stron.

– No to nesesery ćeba wykrywacz, od ćego deed ten Plaplak! Ja nie chcem bycz żadne naziędzie!

– A no trzeba, tylko że jak na razie nie wiadomo – jak! A narzędziem zostaniemy, chcemy czy nie chcemy, zależnie od potrzeb. Tu wszystko jest możliwe, nawet wtedy gdy wydaje się całkiem niemożliwe.

– Na psikład jakaś bajka sajens fykszen? – Roześmiał się O'Mlett.

– A chociażby! Może się, na przykład, okazać, że ten denat nie udławił się podczas śniadania, tylko pośliznął się w drodze do kaplicy na nabożeństwo, bo zobaczył ducha carskiego namiestnika, co tam straszy od stu pięćdziesięciu lat, i umarł z przerażenia. I w ogóle żaden śledez mu nie zaszkodził, a ta rzekoma informacja o ości to była taka przenośnia i skrót myślowy wypowiedziany pod wpływem emocji w obliczu kłamliwych insynuacji wiadomej partii.

– No a szwadki, a piersi prokurator z Psza Wólka...



– Świadkowie gadają bzdury, bo są w zмовie i działają na rzecz ohydnej, rządzącej koalicji. Spotka ich za to zasłużona kara, a kucharkę i kelnera łatwo poświęcić, bo to mali ludzie. Pierwszy prokurator, co przyjechał z jakiejś dziury, został perfidnie wprowadzony w błąd przez wrogi układ. Jacyś lumpeninteligenci uprali mu mózg w czasie drogi i dlatego tak długo jechał. Pani minister Sa-fandulec wyprze się wszystkiego w żywe oczy, w ogóle z nami nie rozmawiała i nie wie kim jesteśmy, a nam nikt nie uwierzy, bo jako funkcjonariusze zakłamanego rządu stanowimy element kompletnie niewiarygodny.

– Charuj! Ty zwariowałeś?

– Mam nadzieję, że nie. Ja tylko znam realia. To, co powiedziałem, to idiotyczny scenariusz, ale możesz mi wierzyć, zastosują go jeżeli takie rozwiązanie będzie im politycznie przydatne dla utrwalenia pozycji.

Komisarz parsknął krótkim śmiechem, ale jego oczy pozostały poważne. – No topsie. – powiedział – Ty piespowiadaj dalej. A laboratory, a doktor od autopsy? Ony teś szyrywate?

– Laboratorium? Dostało śledzika do badania, nic nie znalazło i kropka. Anatomopatolog stwierdził obrzęk krtani, ale na pewno znajdzie się jakiś profesor od siedmiu boleści, który udowodni, że to tylko globus histerikus powstały na skutek przerażenia po

zobaczeniu ducha namiestnika. W końcu cała rzecz odbyła się w pałacu namiestnikowskim, więc cóż w tym dziwnego? Inny profesor mu zaprzeczy i zrobi się wojna między profesorami. Będą się pozywać przed różne komisje, a sedno sprawy utonie w szambie. I o to chodzi. Masz dosyć bajek, czy chcesz jeszcze? Świadków nie mamy i nie będziemy mieli, bo albo są tajnie niedostępni, albo ich fizycznie nie ma, jak ambasadora i jego przystawek. Zejdź na ziemię, szefie, bo ci spuchną skrzydła!

Termin pogrzebu Spitogniewa Marii Plaplaka wyznaczono za kilka dni, więc Charuj, po ożywionej dyskusji z O'Mlettem, postanowił przygotować się do tej uroczystości. Ostrzygł się prawie na zero, nie golił przez tydzień, a w dniu pogrzebu ubrał się w czarny garnitur, różową koszulę w kratkę i żółty krawat w prążki, przez co stał się niezauważalny w tłumie wyelegantowanych posłów i polityków z partyjnej, podstarzałej młodzieżówki.

– Ty lepiej siedź w komendzie i na cmentarz się nie wybieraj, bo jeszcze coś tym swoim niby-polskim chlapniesz i z miejsca cię namierzą – wyjaśnił komisarzowi, który też miał chęć pojechać. – Poza tym ci dostojnicy z pałacu cię zapamiętali, a ja się nie wyróżniam, jestem jak ta szara myszka!

– Z ciebie taka myśka jak różowy słoń! – odparł O'Mlett, ale posłuchał rady i pozostał na miejscu.

Gdy po czterech godzinach zmarznięty na sople Charuj znów pojawił się w komendzie, opiekuńczy komisarz postawił przed nim gorącą kawę i zapytał o przebieg uroczystości.

– Wódka mi się należy, a nie jakaś tam kawa – wesóło zakrzyknął aspirant rozcierając zgrabiąte ręce. – Wiesz, z kim rozmawiałem? Wyobraź sobie, z babcią świętej pamięci denata! Sporo się dowiedziałem. Delikatnie ją podpuściłem i wyzaliła mi się w kamizelkę, jakie to miała wesolutkie życie z tą rodziną!

– A nie wyciuła, że jesteś poulisjant?

– Skądże! Nawet jej pod moherowym berecikiem taka myśl nie zaświtała. Jego tatuś, rozumiesz, bez przerwy siedział, a w końcu jakiś kumpel go zadźgał za coś tam, a mamusię pod jakimś barem w miasteczku rozjechał pijany traktorzysta. Denata chowała siostra mojej rozmówczynie, co była nauczycielką w wiejskiej szkole, i chyba dobrze wychowała, bo zrobił technikum ogrodnicze...

– A tatuś szedźał za komuny, bo polityčný?

– Tego nie wiem, ale chyba nie. Raczej cinkciarz. Ale słuchaj dalej. Denat nie miał roboty, próbował coś w kościelnym ogrodzie, ale to było tak bardziej za Bóg zapłać. Związał się z Samozagładą, ale go olewali, bo był za biedny i za mądry, żeby podkładać ludziom brony pod koła kolcami do góry. No to zaczął się w Picu i Sobiepańskości, bo tak mu proboszcz poradził. Co było dalej,

to babka nie wie, ale najważniejsze, że mam adres wsi, gdzie się wychowywał. – Tu Charuj wyciągnął z kieszeni garnituru pomiętą kartkę i przeczytał: – O, popatrz, Kacza Górka, gmina Drżyflaki w powiecie pódubskim.

– A ta szostra od babki, co naucicz... sorry, nauszyc...

– Nauczycielka – podsunął Charuj.

– Yes, nauśiszelka, to ona żyje?

– Niestety nie, ale szkoła chyba dalej jest, chociaż teraz kupę szkół polikwidowali. Trzeba sprawdzić.

– No to ty otopciwaj, a ja spawdzić!

O'Mlett usiadł przy telefonie i zaczął dzwonić. Najpierw miał problemy z ustaleniem numeru kierunkowego. Później, jak już znalazł ten numer, to nie mógł dogadać się z biurem numerów, o jaką szkołę mu chodzi. W końcu Charuj skończył pić kawę i odebrał mu słuchawkę.

– Twoje umiejętności i wiedza kryminalistyczna nie wystarczają do sprawnego postępowania się polskimi telefonami – wyjaśnił krótko.

Po dziesięciu minutach aspirant połączył się z urzędem gminnym w Drżyflakach, gdzie go poinformowano, że szkoły w Kaczej Górce od tego roku szkolnego już nie ma, bo dzieci nie opłaca się uczyć na miejscu i lepiej żeby jeździły pięćdziesiąt kilometrów

autostopem do miasteczka. Jest natomiast posterunek policji mieszczący się w lokalu ośrodka zdrowia, który też ma być zlikwidowany z powodu braku dostatecznie chorych pacjentów.

Połączywszy się z posterunkiem Charuj dowiedział się, że niczego się nie dowie, bo dowodzący placówką sierżant jest tu dopiero od tygodnia i nikogo nie zna. Poza tym użera się z ośrodkiem zdrowia o pomieszczenie na areszt i nie ma czasu na zabawę w archeologia. Jak komenda coś chce, to niech kogoś przyśle i niech ten ktoś sam sobie poszuka. – My tu mamy, panie szanowny, teren gorący. Nie ma tygodnia, żeby ktoś kogoś siekierką nie popieścił. Nie tak, jak tam u was tylko elegancja – Francja i panie szanowny, życie jak w Madrycie! – zakończył rozmówca i odłożył słuchawkę.

– No to co? Jest po co tam jechać twoim zdaniem? – spytał O'Mletta aspirant, gdy ponowne połączenie okazało się niemożliwe.

– Można probowacz. Cosz ćeba robicz.

Następnego dnia rankiem pojechali. Tłukli się prawie trzy i pół godziny bo było mgliście i droga śliska, a poza tym rozgrzebana kilometrami z powodu notorycznego polepszania przelotowości i łatania kolein po białoruskich i litewskich tirach.

Gdy dojechali, to okazało się, że na posterunku nikogo nie ma, tylko stojący za zamkniętymi drzwiami telefon dzwonił jak oszalały.

W korytarzu dawnego ośrodka zdrowia spotkali starą pielęgniarkę, przybraną nawet regulaminowo w fartuch i czepek, która wyjaśniła im, że policjantów jest dwóch i na pewno obaj w terenie, bo rzadko kiedy siedzą na miejscu. Mają jeden pokój od frontu, a drugi od zaplecza i chcą je połączyć, żeby nie biegać naokoło.

– I co? Przychodnia się nie zgadza? – zapytał Charuj.

– Przecież nas i tak w tym roku zlikwidują, to co nam zależy. Wójt się nie zgadza, bo jakiś supermarket chce założyć, a my tam mamy tylko archiwum.

– A pani od dawna tu pracuje?

– Już minęło ćwierć wieku – pielęgniarka uśmiechnęła się gorzko – jako przełożona tu zostałam, tylko personelu nie mam. Wszystkie młodsze wyjechały, żadnego lekarza też nie ma, a mieliśmy tu nawet izbę porodową. I dentystka była, i higienistka w szkole, a teraz co? Dzika plaża.

Na wieść o szkole Charuj postanowił pociągnąć ten temat. – Wie pani – powiedział wyjaśniająco – interesuje nas młodość niejakiego Spitogniewa Plaplaka, który podobno kiedyś tu mieszkał...

– Spytka? – ucieszyła się raptem siostra przełożona. – Toż on tu przyjechał, będzie ze trzy lata! Z adwokatem przyjechał, bo podobno o jakieś odszkodowanie procesował się za coś tam. Potrzebował wyciąg z karty choroby.

– Daliście mu?

– Pewnie, że daliśmy. Ksero zrobił i oddał. Jeszcze ten swój pozw dołączył, żeby w dokumentach było w porządku!

– A moglibyśmy zobaczyć tę dokumentację? – Charujowi tętno podskoczyło do stu dwudziestu.

– Jak znajdę, to pokażę. Pewnie za miesiąc albo dwa to wszystko i tak pójdzie na zwałkę, bo pomieszczenie kazali opróżnić.

– Kto kazał?

– Wójt. Nawet izbę pamięci zlikwidował, co była przy świetlicy. Bo tu, proszę panów, w czasie wojny walki się toczyły, ale ostatnio uznano, że walczyli nie ci, co się teraz liczą, tylko ci drudzy, no to trza było zlikwidować. Zupełnie tak, jakby poległym za Polskę to robiło różnicę.

Uczynna pielęgniarka zabrała się do szukania i po niecałej półgodzinie znalazła. Dokumentacja zawierała kilka stron zapisanych ręcznie na typowych drukach kart choroby i szkic ksero pozwu sporządzonego na podstawie zapisów.

– A właściwie po co to panom? – zainteresowała się w końcu siostra.

Charuj, mając dokumentację w ręku, nie widział powodu, by ukrywać rzeczywisty cel poszukiwań, którego nie ujawniał poprzednio by nie sponżyć rozmówczyni. – Pan Spitogniew Plaplak

nie żyje – oświadczył bez ogródek – toczy się śledztwo w sprawie przyczyn jego śmierci.

– O Boże! Jakiś wypadek?

– Jeszcze nie wiemy, ustalane są okoliczności – ostrożnie odpowiedział aspirant. – A nie wie pani przypadkiem, czy ta jego przybrana matka, no... ta nauczycielka jeszcze tu mieszka?

– Niestety, nie żyje biedaczka od przeszło roku. Emeryturę jej dali maleńką, bo nie miała studiów, choć czterdzieści lat z powodzeniem uczyła. No i zmarło się jej, bidulce.

Łup z wyprawy okazał się o tyle cenny, że potwierdzał ich wiedzę o młodości pana Plaplaka spędzonej w tej wsi oraz informował o chęci wykorzystania istniejącej sytuacji politycznej do wszczęcia procesu o jakieś odszkodowanie.

Pożegnawszy się zostawili siostrę przełożoną w jej pustym królestwie i wyruszyli w drogę powrotną, usiłując bezpiecznie dojechać do celu, ponieważ co drugi tir jadący z przeciwka oślepił ich bez żadnej ceremonii. W mieście byli wczesnym wieczorem i odstawiwszy samochód na parking udali się do domu Charuja, który wcześniej uprzedził żonę o wizycie.

– Obiecałem ci kołduny w rosole – wyjaśnił O'Mlettowi, gdy ten zamierzał wrócić do siebie. – Wy w tej waszej Ameryce odżywiacie



się tylko demokracją i hamburgerami, więc powinieneś zjeść i wypić coś polskiego.

– A do kałduny nesesery polisz wodka?

– A co! Taki sukces w śledztwie trzeba oblać. Miateś pomysł, żeby tam pojechać, no to teraz cierp i nie narzekaj. Poza tym użyłeś w tę pogodę jak pies w studni i należy ci się godziwa rekompensata.

Następnego dnia w komendzie zabrali się do oceny znaleziska. Był to lakoniczny, prowadzony kolejno przez kilku lekarzy, typowy opis przebytych chorób wieku dziecięcego i zastosowanych środków terapeutycznych. Dołączony był do niego sporządzony przez adwokata wykaz jedynie nazw tych samych schorzeń, ale opatrzone dość specyficznym komentarzem prawnym, wykonanym zapewne w celu wykorzystania w pozwie o odszkodowanie. Znajdowały się tam informacje o tym, że delikwent już w wieku przedszkolnym nabawił się ciężkiej pokrzywki na skutek perfidnego zmuszania go przez reżimową wychowawczynię do jedzenia czerwonej kapusty i noszenia czerwonej czapeczki w czasie rzekomej zabawy w krasnoludki, a w rzeczywistości w trakcie prania mózgu i przeinaczania podświadomości.

Jako siedmiolatek zapadł na krztusiec czyli koklusz na skutek zarażenia się od dzieci milicjanta, celowo rozsiewających zarazki

wśród szkolnych kolegów pochodzących spoza środowiska aparatu ucisku i zniewolenia.

Odry chłopiec nabawił się za Odrą, podczas przymusowej szkolnej wycieczki do NRD, gdzie został zainfekowany przez kontakty z potomkami funkcjonariuszy STASI, czerwona wysypka na jego ciele pojawiła się bowiem natychmiast po powrotnym przekroczeniu granicy.

Szkarlatyna dopadła go w czerwonym harcerstwie, bo młody, osłabiony po odrze organizm nie był jeszcze dostatecznie uodporniony na wszelką czerwień, co objawiło się malinowym językiem i czerwonymi plamami na klatce piersiowej i ramionach, podobnymi zarówno w kolorze jak i kształcie do przymusowo noszonej chusty.

Świnką zaraził się rzekomo podczas wakacji spędzanych w kilkunastoosobowej grupie młodzieży z czemuś opuchniętymi śliniankami i migdałkami jak śliwki. W rzeczywistości natomiast jądra mu spuchły jak balony na skutek kopnięcia przez zomowca w czasie demonstracji. Nie ma więc pewności, czy rozpoznanie świnki było prawidłowe. Raczej należy przyjąć, że diagnozujący lekarz szedł na pasku bezpieczeństwa i tą metodą ukrył prawdziwą przyczynę patologicznego opuchnięcia jąder.

Nękająca i oszpecająca wysypka na twarzy, rozpoznana błędnie jako rzekomy trądzik młodzieńczy, była wynikiem ciężkiego

uczulenia na propagandę postkomunistyczną, której organizm w ten sposób lawinowo się pozbywał. Młody człowiek względnie wydobrał dopiero po dwumiesięcznych rekolekcjach, mimo wielu bezskutecznych i drogich wizyt u zwodzącego go mirażem ozdrowienia, skorumpowanego dermatologa.

Na tym zapis się kończył, ale policjanci byli pewni, że musiał istnieć jakiś dalszy ciąg, a przeczytana treść była jedynie wstępem do pełnego wykazu potwornych krzywd ze strony reżimu, jakich już od dziecka doznawał pan Spitogniew Maria Plaplak. Należało więc szukać do skutku, choć w tej chwili nie przychodziło im do głowy – gdzie.

W związku z tym, że na wykazie sporządzonym podobno przez prawnika nie było żadnego podpisu ani nawet wzmianki o miejscu, do którego miałyby być skierowany, Charuj doszedł do wniosku, że powinni powiadomić o tym prokuratora. Nie był to żaden pełny dokument procesowy, ale do jakiegoś sądu, być może trafił, skoro go w ogóle stworzono w celu uzyskania odszkodowania za poniesione szkody.

Niestety, nie było wiadomo, jak przedstawiał się dalszy stan zdrowia denata, ale już te zapisy z okresu dzieciństwa wskazywały, że pan Plaplak ogólnie podatny był na wszelkiego rodzaju uczulenia, a to potwierdzałoby sugestię Charuja, że przyczyną zgonu

mógł być ogólny stan zdrowia, a nie udławienie się ością lub czymkolwiek innym.

Prokurator przyjął informację z zainteresowaniem, bo rzucała ona pewne światło na ogólną charakterystykę ofiary, ale żadnej pomocy nie obiecał.

– Radźcie sobie, panowie, sami – powiedział dość obojętnie – sprawa na razie śpi, a zostanie zapewne obudzona, gdy powstanie jakieś polityczne zapotrzebowanie na jej propagandowe wykorzystanie. Niestety, nie umiem przewidzieć, kiedy to nastąpi, więc nie warto specjalnie zwlekać.

– Jo wama, kumie, dobrze radzę, róbta se jak uważata – sentencjonalnie stwierdził Charuj po zakończeniu rozmowy z prokuratorem.

– A rodzynę jaką ten Plaplak poszada? – spytał nagle O’Mlett.

– Cholera go wie. Na pogrzebie, w krzesłach przed katafalkiem widziałem tylko tę babkę. Żadnych żon czy dzieci nie było, sami oficjele.

– I od rodziny nie było psiemowy?

– Nie. Tylko jakiś młodzieniec w czarnym płaszczu do ziemi plótł trzy po trzy para piętnaście, ale on był chyba z miejsca pracy albo z partii. Ot, takie typowe przemówienie według wzoru numer

pięć, że otrzymał pośmiertnie jakiś medal i tak dalej takie różne elemeledudki.

– Elemele czo?

– Dudki. Znaczą nic konkretnego.

– Czo citaś, Hamlecie? Słowa, słowa, słowa – podsumował komisarz.

Po powtórnym wystąpieniu panu Miłosławowi Kibitce wezwania na przesłuchanie w charakterze świadka i po dwukrotnej interwencji telefonicznej w pałacu Charuj dowiedział się, że starszy kelner, po wyleczeniu się z kataru, został zwolniony z pracy w trybie natychmiastowym i wszelki kontakt z nim został zerwany.

– Nie mamy żadnego obowiązku odpowiadać za jego zachowanie – pouczono aspiranta z oburzeniem, gdy usiłował dociekać przyczyn niestawiennictwa.

– A za co go zwolniono?

– Dobór właściwych kadr to nie jest sprawa policji. Nasze postępowania personalne mają charakter poufny, proszę nas nie molestować!

Miejsce zamieszkania pana Miłosława Kibitki było znane, więc wysłano tam policjanta aby ustalił, co się z wezwanym dzieje. – Zapodanego nie zastałem, a od żony, czy może konkubiny, dowiedziałem się, że podobnie udał się do Londynu w celu zatrudnienia

jako fachowiec na zmywaku, ale żadnych listów czy telefonów ta dana konkubina od niego nie otrzymuje i kontaktu nie posiada – zaraportował policjant po powrocie.

– A ta jego żona czy konkubina to od dawna z nim żyje? Gdzie pracuje? Jakies dzieci mają? – Zapytał aspirant.

– Nie pytałem, nie było polecenia! – Policjant, widząc, postanowił bronić się przed zarzutem o brak operatywności, więc Charuj spróbował delikatniej:

– Fakt, nie było, ale co sam wyczytałeś, jak z nią rozmawiałeś?

– To taka jakby trochę dziwna kobita. Niby jego żona, a na drzwiach nazwisko „Paproch”, ale może wynajmują, nie? Najsam-pierw to mnie nie chciała wpuścić, potem wpuściła, ale wyskoczyła z gębą, że nie mamy prawa. Całe mieszkanie to jeden pokój, bez mebli prawie, nie było widać, żeby ona tam w ogóle mieszkała. A ona tak ze mną rozmawiała jakbym to jej szukał, a nie jego. Cią-gle mnie pytała, dlaczego ja się jej czepiam, a nie interesowało jej, czego chcemy od jej chłopca. Ani razu o to nie zapytała. W końcu jak do starego policja przychodzi, to na ogół żona chce coś wie-dzieć, nie? Ubrana zimowo, jakby tam tylko wpadła na chwilę, żadnych kapci czy szlafroków na sobie, tylko futerko i kozaczki. Aż mnie zdziwiło, że kelner z pałacu, a nie żaden lump, gość pewnie nadziany, a tak lichy mieszka!

– Popatrz, szefie – powiedział Charuj do O’Mletta po wysłuchaniu raportu – zwolnili faceta w trybie karnym nie wiadomo właściwie, za co, czyli istnieje prawdopodobieństwo, że coś wiedział. Skoro zwiął do Londynu, to znaczy, że się boi, bo tu robotę miał na pewno lepiej płatną niż na zmywaku w Anglii. Krótko mówiąc szkoda, że nie udało się go przesłuchać, ale jednocześnie ściągać go z Londynu przez Interpol nie bardzo się opłaca, bo to tylko potencjalny świadek. A co ty o tym myślisz?

– Ja myślcie, że ćeba napyć się kawy.

– Nie przywiązujesz wagi do ewentualnych zeznań tego gościa?

– Psiwążiwuje, ale jego tu nie ma i może dugo nie będzie, a mnie chce się pić jakieś czepte, bo żymno! A psied mieszkanie tego Kibitka ja by dał obserwację.

– W porządku, poobserwujmy tę jego niby-żonę, może nam się coś nawinie. Cholera, jak nie ruszymy z miejsca, to rzeczywiście wypadnie nam uwierzyć, że ten rzecznik udławił się wirtualną ością. Ale trochę mi głupio tak poddawać się bez walki, wkurzyli mnie z lekka w tym pałacu! – powiedział Charuj nalewając kawę.

– I psiez zemstę wykryjesz prawdę? – w głosie O’Mletta zadrgała nuta szyderstwa – Ja wolę wykrywacz jako profesznal, na żymno. Ciebie teś radzę. Nie ma chwyłowo szwadek, bo ucieka do Londyna? No problem, Charuj, poradżimy sobie.

Analiza treści szczątkowego wniosku o odszkodowanie w korelacji z czasem jego powstania wskazywała, że denat przystąpił do działania na tym polu mniej więcej w okresie objęcia władzy przez Pic i Sobiepańskość. Nasuwało się więc podejrzenie, że tylko polityka ówczesnego ministra sprawiedliwości, pana Gnatko, mogła dawać rękojmię powodzenia pozwu przed sądem, niezależnie od treści zawartych w nim roszczeń.

– To jego meśkanie to nie rezidens, to dziura, slams. Ja zdziwiony take meśkanie – stwierdził nagle O'Mlett odchodząc od tematu odszkodowania za coś tam, o które występował świętej pamięci rzecznik.

– Rzeczywiście, mnie też coś się tutaj nie podoba. – podjął Charuj – bardziej mi to wygląda albo na melinę, albo na lokal kontaktowy jakichś służb.

– A jakich? Myślisz ty, że nie naszych?

– Naszych, rodzimych. Na przykład infiltrujących którąś stronę polityczną, albo może szykujących po cichu jakąś prowokację antykorupcyjną.

– Lasiego?

– No wiesz. Dowodu nie mam, ale tak na czuja: Facet pełniący rolę kelnera w pałacu, dobrze ustawiony, podobno raptem zwolniony, co rzekomo ucieka do Londynu, ale nie wiadomo, czy to



prawda, i jakaś baba, co może udawać jego żonę, ale najprawdopodobniej nią nie jest, niby mieszkają razem w chałupie, która wygląda jak pustostan. Czy to nie przypomina ci scenki z trzeciorzędnego filmu szpiegowskiego? Takiego hollywoodu dla ubogich?

– Ty myślisz, że specsłużby, to czemu take primitiw?

– Nie wiem, może się mylę. Co zostało po ostatnich poprzednikach, to i działa pewnie z rozpędu póki może. Jaki pan taki kram. Ale co mnie to w końcu obchodzi. Niczemu się nie dziwię i tobie też nie radzę, ale przyznasz chyba, że to wygląda podejrzanie?

Dwa dni obserwacji lokalu będącego rzekomo mieszkaniem pana Kibitki przyniosły ciekawe wyniki. Kobieta będąca podobno jego żoną wpadła tam przez ten czas tylko raz w towarzystwie jakiegoś ogólnie szarego i niczym nie wyróżniającego się mężczyzny. Posiedzieli w środku z godzinę, a później oboje wyszli, ale nie razem. Pierwsza wyszła ona, a on pięć minut po niej. Obserwator nie mógł określić, czy tym mężczyzną nie był przypadkiem sam pan Kibitka, bo nie dostał żadnego rysopisu porównawczego. Przez dwie kolejne noce lokal najprawdopodobniej był pusty, wątpliwe więc, aby mieszkał tam ktoś na stałe. Powtórnie interpelowane biuro ewidencji ludności upierało się, że pod tym adresem zameldowany jest niejaki Miłosław Kibitka i że nigdzie indziej takowy nie występuje, a więc sprawa wydawała się beznadziejna.

– My mamy jaka pewnoszcz, że ta Kibytka rialiti żyje? Kto one-go kedy wydzi i wi, jak on wigląduje? – O’Mlett, zaskoczony piętrzącymi się trudnościami, raptem zwątpił w rzeczywiste istnienie świadka. – Te mynistry z pałaca teś mogą nam nie mówyc jedno słowo prawdy!

– Ale dostaliśmy jego nazwisko na liście świadków – zaoponował Charuj – po cóż by nam podawali personalia faceta, który nie istnieje? Mogliby podać tylko tego drugiego kelnera i koniec. Nikt by ich nie sprawdził. No i ta Ciapul mówiła, że kelner ją poinformował o udławieniu się gościa!

– Yes, ale nie mówiła nejm, który kelner! Może w ogóle bił tylko jeden kelner?

– Ten Kapeciak też mówił, że podawał do stołu z kolegą...

– Yes, ale on mówy „miał podawacz Józek”. Jaky Józek, jeżeli Kibitka jest Miłosław? To co? Tam bił jakiś czeci? My nie sprawdzili, ci Józek to Kibitka! Może jemu tak było na drugie, albo może ksywa taka. Moja wina, że ja wierzę w słowo od mynister, a okazywa się, że nie ćeba! Teraz mus brać tego Kapeciaka na psiesłuchanie, i pani Ciapul jeście raz!

Z panią Ciapul Charuj skontaktował się dosyć szybko, bo zadzwonił do niej do domu i nie chcąc ściągać jej do komendy umówił się

z nią po południu w kawiarence na rogu ulicy. Była trochę wystraszona, ale przysłała.

– Przepraszam panią za kłopot – powiedział aspirant, gdy usiedli nad filiżankami kawy – ale chciałbym wiedzieć, od którego z kelnerów dowiedziała się pani o wypadku pana rzecznika podczas śniadania?

– Od Janka Kapeciaka – odrzekła zaskoczona, jakby rzecz była tak oczywista, że pytanie nie miało sensu.

– Nie od Józka?

– Od tego Józka Pieniarza, co miał być, a go nie było?

– Właśnie... – Charuj zająknął się lekko, niezbyt pewny własnej reakcji wobec tak nieoczekiwanego obrotu sprawy.

– Skądże. Józek Pieniarz w ogóle do roboty nie przyszedł. Nowy był, skądciś go przysłali niby na starszego kelnera. Jeden dzień tylko pobył. Miał serwować na tym śniadaniu ale nie przyszedł i do dzisiaj go nie ma.

Charujowi w głowie zdecydowanym blaskiem rozjarzyła się czerwona lampka, ale opanował się i nie okazał zaskoczenia. – A Kibitka był w robocie? – zapytał pozornie obojętnie.

– A kto to jest Kibitka? – równie obojętnie spytała pani Ciapul.

– Taki jeden. Mogła go pani nie znać. Nieważne. Ale jest jeszcze inna sprawa. Pani Ciapul, niech się pani zastanowi zanim pani

odpowie. Czy ten kelner Kapeciak, który podawał śledzika na śniadaniu, znał tego Józka Pieniarza?

– Chyba go nie znał, nawet go pewnie nie widział. To ja mu przecie powiedziałam, że ten nowy Józek będzie z nim serwował do śniadania, ale jak Józek nie przyszedł do roboty, to kiedy Kapeciak miał go widzieć?

– A pani skąd wiedziała, że Pieniarz ma przyjść i podawać?

Kucharka namyślała się przez pół minuty, wreszcie przypomniała sobie. – Aaa, to pani wiceminister Ciepły powiedziała, że ten nowy będzie. Ale ja go widziałam tylko raz, poprzedniego dnia, przez chwilę.

– I jak wyglądał? Był młody, stary, chudy, gruby, może łysy?

– Normalnie. Młody, wysoki może taki jak pan. Włosy miał zdaje się krótkie. Przyszedł z panią wiceminister, powiedział jak się nazywa i sobie poszedł. Wszystko.

– A mówiła pani na przesłuchaniu w komendzie, że pani minister Ciepły w kuchni od miesiąca pani nie widziała. No to jak? Przyszła jednak do kuchni z tym panem Pieniarzem.

– Szczerą prawdę mówiłam, jak Boga kocham! Do kuchni z nim nie weszła, bo w korytarzyku rozmawiałim! – Odparła wzburzona kucharka.

Charuj dopił kawę, zapłacił, podziękował za spotkanie, pożegnał się szarmancko i poszedł do samochodu, który zostawił za rogiem.

Wiadomość przywieziona przez aspiranta wywarła na komisarzu duże wrażenie i wprawiła go w zdumienie graniczące z ekstazą, jak na widok cudu.

– Kursie blade! – powiedział z mocą. – Jutro rano ty paćisz w ewydencja, gdzie meśka Józef Pieniaś, a ja dzwonię do pałaca! Okej?

Biuro ewidencji ludności odpowiedziało, że Józef Pieniarz mieszka przy ulicy Notorycznie Pokrzywdzonych 23, mieszkania 7 i Charuj bez zwłoki wysłał tam policjanta, aby potwierdzić tę wiadomość i ewentualnie dowiedzieć się o osobie pana Pieniarza czegoś więcej.

Komisarz natomiast niczego w pałacu nie osiągnął. Odpowiedziano mu opryskliwie, że żadnego Józefa Pieniarza nigdy nie zatrudniali, w ogóle takiego nie znają i żeby był łaskaw nareszcie się od nich odczepić, bo to jest politycznie sterowane nękanie i złośliwe szukanie dziury w całym.

Policjant wrócił po dwóch godzinach i zameldował, że niejaki Józef Pieniarz rzeczywiście mieszka na Notorycznie Pokrzywdzonych 23, że ma osiemdziesiąt siedem lat i od miesiąca przebywa w szpitalu, gdzie usunięto mu przerośniętą prostatę. Jego sześćdziesięcioletnia

córka, jedynaczka, poza tym wyjaśniła policjantowi, że jej ojciec od dwudziestu lat jest emerytem, całe życie pracował w tramwajach, a przez ostatnie pięć lat w ogóle nie opuszczał domu, nie mówiąc już o pracy zarobkowej gdziekolwiek. Nie mają też rodziny i nie jest jej znany żaden mężczyzna noszący to samo nazwisko.

Wychodziło więc na to, że należy szukać jakiegoś całkiem innego Józefa Pieniarza, ale O'Mlett po naradzie z Charujem doszli do wniosku, że taka akcja nie ma sensu, bo jeśli nawet go znajdą, to on im przecież nic nie powie, bo go feralnego dnia w pałacu nie było. Jasne więc, że to ślad wiodący donikąd.

– Kibitka nie ma, Pieniaża nie ma, znać oba są goust... cili duchi. To mu muszy nesesyry pitać u jaki arsybiskup! – podsumował to komisarz.

– Można! – roześmiał się Charuj – Można jeszcze kazać zrobić portret pamięciowy tego niby-kelnera, ale jaką my mamy pewność, że on naprawdę nazywa się Pieniarz? Że tak się sam przedstawił tej kucharce? Równie dobrze mógł powiedzieć, że nazywa się, na przykład, Michał Korybut Wiśniowiecki.

– A kto to jest ten Wyśnoweski?

– Był. Taki nieudany król. Turcy mu zabrali Podole.

– Tu u was w Polsce, sze widaje, same nieudane króle – mruknął O'Mlett.

Prokurator telefonicznie zapytał, jak tam sprawa, więc Charuj przedstawił mu sytuację, ze szczególnym uwzględnieniem zdematerializowania się panów Kibitki i Pieniarza, o ile ten ostatni w ogóle tak się nazywa. Prokuratora nie zdziwiło to zbytnio, westchnął tylko jak wieloryb, ale ich nie ponaglał. Widać było, że jego też nikt się o nic chwilowo nie czepia, ale ten błogi spokój w każdym momencie mógł zostać zakłócony. – Jak się wam, panowie, gdzieś jakaś furtka otworzy, to natychmiast mnie powiadomcie – powiedział profilaktycznie i zakończył rozmowę.

– Szefie – Charuj z półuśmiechem na twarzy rozpoczął głośne myślenie po paru minutach milczenia – właściwie prośba do arcybiskupa o egzorcyzmy i o interwencję w tej sprawie też nie ma sensu, bo obaj panowie niby-kelnerzy ponad wszelką wątpliwość duchami nie są. Kibitkę musiała widzieć i znać pani wiceminister Safandulec, skoro wstawiła go na listę świadków. Nie wiemy tylko, po co to zrobiła. Pieniarza natomiast musiała widzieć i znać pani wiceminister Ciepły, skoro przyprowadziła go do kuchni, gdzie ten przedstawił się Ciapulowej. Poza tym skoro Kibitkę wykopano z roboty, to musi on być osobą realną. Krótko mówiąc obaj panowie istnieją, choć na pewno nie są kelnerami, bo gdyby nimi byli, to nie ukrywano by tak skrętnie ich tożsamości. Prawda?

– Yes.

– Skoro nie są tymi, za których mają uchodzić, to kim są? Coś to wszystko dziwnie pachnie, a skoro, delikatnie mówiąc, śmierdzi, to w grę wchodzi dwa motywy: Albo pieniądze, albo jakieś działania czynione w tajemnicy. A może nawet jedno i drugie. W tej sytuacji ja proponuję tych dwóch panów w ogóle nie ruszać. Zgoda?

– Yes.

– Okej. To ja każę zdjąć obserwację z mieszkania Kibitki. Wielki chort z nim i z tą jego babą, i tak nam nic nowego nie wniosą, a my możemy wdepnąć w jakąś minę! Chce pałac mieć swoje duchy, to niech ma.

– Topsie, zdejmuj. Ja też nie mam zamiara do spirytyzma.

– Pięknie to wyraziłeś! No to teraz trzeba zastanowić się, co robimy dalej. Trudno nam będzie udowodnić, że tego Plaplaka ktoś celowo ukatrupił, bo nie mamy żadnych poszlak, nie mówiąc już o dowodach. Ale jednocześnie przyjąć, że udławił się wirtualną ością, też nie możemy, bo to czysta bzdura, choć pałac, jak się wydaje, wyraźnie od początku do tego dąży.

– Ja od początku mówię, że on deed od jakaś choroba – stwierdził O'Mlett. – Może my jeście rozmawiacz z ten doktor od autop-sja? On napisał, że uduśnienie, ale nie napisał jaka psicina!



– Przecież nie powie nam nic więcej poza tym, co napisał. Tym bardziej że ktoś z prokuratury też był obecny przy sekcji i parafował protokół.

Telewizja w południowym wydaniu „Wynaturzeń Dnia” poinformowała zdawkowo, że pani minister Wanna Framuga na własną prośbę odeszła z dotychczas zajmowanego stanowiska Dyrektora Biura Zapobiegania Nieplanowanym Poślizgom Na Powierzchniach Poziomych. Zrezygnował również pan Janko Maćko Moher-Berett, dotychczasowy doradca pana Prezydenta do spraw Wypowiedzi Niewiążących, Przypadkowych i Kamieni Obrazy. Dymisje zostały przyjęte, a o dalszym losie zdymisjonowanych w „Wynaturzeniach” nie poinformowano, jak również nie wspomniano ani słowem o ich ewentualnych następach. Dziennikarz prowadzący okazał tylko lekkie zaniepokojenie faktem, że tak eksponowane stanowiska pozostały nieobsadzone i wyraził nadzieję na rychłe unormowanie sytuacji w tym zakresie.

– Charuj, jak ty myślisz, ci to rezygnacja czy to od psicia szmerci mister Plaplak w szmetanie? – zapytał O’Mlett, coraz intensywniej dopatrujący się teorii spiskowej w każdym wydarzeniu.

– Nie sądzę – odrzekł aspirant po namyśle. – Musiała być inna przyczyna. Z tak zaufanej osoby jak minister Framuga nie rezygnuje się z byle powodu. Ten pan Moher-Berett natomiast odszedł

zapewne z racji bliskiego powiązania z panią minister. A czemu pytasz?

– Tylko tak psiez profesjonal... znać zawodowy doczekliwoszcz. Jak co jest, to ja luby wedżeć.

Zachodzące zmiany na stanowiskach w pałacu niczego nie wniosły do sprawy. Nie przybyło świadków, ani ich nie ubyło, bo odchodzących i tak nie można by było przesłuchać, nawet gdyby pozostali na swoich stołkach przez całą wieczność. Lekkie zdziwienie Charuja wywoływał jedynie niezrozumiały fakt dalszego pełnienia funkcji przez panią Apolonię Ciapul, która zapewne naraziła się przełożonym nie tylko przyrządzając fatalnego śledzika w śmiecanie, ale również składając wyczerpujące zeznania pracownikom podlegającym obcemu politycznie ministrowi spraw wewnętrznych, a to już było grzechem nie do odpuszczenia.

– A może o dobrą kucharkę trudniej, niż o mynystra – przypuszczająco stwierdził O'Mlett, gdy Charuj przedstawił mu swoje wątpliwości.

Z dalszych doniesień „Wynaturzeń Dnia” niezbitcie wynikało, że przenjajpierwsza osoba została zmuszona, aby udać się jakąś zdezelowaną awionetką na podobno bardzo ważny szczyt, gdzie ma przedstawić na forum międzynarodowym poglądy swojego brata. Oczekiwana tam prezentacja zdania rządu nie wchodzi w rachubę,

bo to tylko mało ważne popiskiwania uzurpatorów, których notoryczna omylność w każdej kwestii jest ze wszech miar szkodliwa i powinna być konstytucyjnie zabroniona.

Przywódcy rewolucji moralnej towarzyszyć mają: doradca Do Spraw Prostego Wizerunku w Krzywym Zwierciadle i minister Połowicznie Pełnomocny do spraw Krótkich Spięć i Zdemolowanych Kontaktów. Osoby te umieści się w ogniu, bo tam bardziej rzuca niż w pobliżu skrzydeł, a instrukcja nakazuje tak wybitnych fachowców przed użyciem wstrząsnąć.

Dementuje się jednocześnie niczym nieusprawiedliwioną plotkę, że po wielokroć reanimowane technicznie zwłoki samolotu rządowego typu Tu-sto ileś tam podobno nie zostały Osobie Szczególnej Troski przydzielone z przyczyn bezpieczeństwa, bo mogłyby się gdzieś rozsypać wraz z cennym nadzieniem i naród poniósłby niepowetowana stratę, a na wyprodukowanie sobie jeszcze jednego męczennika w sytuacji narastającego kryzysu zdecydowanie go nie stać. Tak więc fakt nieprzydzielenia samolotu powszechnie uznaje się za zbrodnię i rządowi zostaną wytoczone liczne procesy o naruszenie godności państwa, ciężką obrazę osobistą i żądanie zasądzenia wysokiego odszkodowania jak również zwrotu kosztów przymusowego wypożyczenia zdezelowanej awionetki.

– Ja nie rozumiem... – niepewnie powiedział O'Mlett.

– Czego nie rozumiesz?

– Ja nic nie rozumiem.

– To nie jesteś odosobniony, większość społeczeństwa nic nie rozumie, a ci co rozumieją to turlają się ze śmiechu. Jak miałbyś czas i chęć na codzienne czytanie gazet, to też byś bez przerwy rechotał. Taka jedna informacja w telewizji nie oddaje kabaretowej złożoności problemu.

– A ty citaś?

– Też nie mam czasu, ale trochę czytam. – Charuj sięgnął do sterty gazet leżących na okiennym parapecie, wyciągnął jedną z nich i podsunął O'Mlettowi. – Ooo, popatrz. Na przykład wczoraj ukazał się taki kwiatek, nawet miałem ci to pokazać, ale coś mi przeszkodziło.

Oto w gazecie „Nasz Słuszny Codziennik” ukazał się artykuł profesora Janisława Pafnuca zatytułowany „Chora z nienawiści lumpen-łżeelita jednak zapłaci!”. Autor z satysfakcją donosił, że straszne krzywdy zadane przez były reżim bohaterskim bojownikom za sprawę nareszcie zostaną pomszczone, a przykładem rozpoczęcia się tego, przez całe społeczeństwo oczekiwanego procesu może być sprawa cywilna wytoczona zakłamanej koalicji rządowej przez znanego opozycjonistę o odszkodowanie za doznany uszczerbek na zdrowiu. Nazwiska ofiary prześladowań publicyści co prawda nie

wymienił, ale inne dane zawarte w artykule dały Charujowi wiele do myślenia. Otóż sprawa dotyczyła wydarzeń sprzed ćwierćwiecza mających miejsce między innymi we wsi Kacza Górka, a pozew o odszkodowanie rozpatrywał sąd rejonowy w Póldubsku. Autor ubolewał nad tym, że nieoczekiwana śmierć powoda uniemożliwiła sądowi dalsze postępowanie rekompensacyjne, niemniej był zdania, że zapoczątkowany precedens pozwoli na rozszerzenie działań i poruszy lawinę pozwów, na które nieodpowiedzialny rząd będzie musiał odpowiedzieć.

O'Mlett wysłuchał streszczenia artykułu z kamienną twarzą. – Lau is lau – powiedział beznamiętnie – temu goszczu śiarpneli za zdrowie, to on idże do sąda. Wsisko wpożątku.

– Nie o to chodzi – żywo zaoponował aspirant. – Sąd sądem, ale gdzie? Nie zauważyłeś? Rzecz dotyczy Kaczej Górki, niedawno tam byliśmy w ośrodku zdrowia. Głowę dam sobie uciąć, że chodzi o tego naszego Plaplaka, co najpierw składał pozew, a później nagle umarł!

– Zauważyłem. – O'Mlett zamyślił się i milczał przez minutę. – Od sąda nie będzie żaden wiadomoszcz, lasiego on otruty i cim. Jedne co może bycz w akta sprawy, to na co on chory, albo może on zdrowy i tylko dla sąda udawał, że chory. Citałeś kawałek tego pozwa, to wiesz. Katar i kokluś komuniszczy podobno jego zarażyli.

Żeby on był psinajmniej tuberkulozis zarażony, albo... no... leper, toby może od tego umarł, ale od koklusia...

– Dlaczego akurat Lepper? Co on ma do tego?

– Sorry. Leper w polsky znać, zdaje sze, trądowatnik, ci jakosz tak...

– Aha, trądowaty! – Charuj roześmiał się z językowego nieporozumienia. – Rzeczywiście, od koklusu raczej trudno dorosłemu facetowi nagle umrzeć, ale mógł mieć jakieś zadawnione schorzenie. Sami chcieliśmy zdobyć jego kartę zdrowia.

– Ja zawsze mówiłem, że on chory. Topsisie. My nesesery popaćć w aktów sprawy, ale jak? Sąd nam onych da?

– Kupił, nie kupił, potargować można.

Charuj nie chciał wniosku o udostępnienie akt powierzać poczcie, bo to trwałoby przynajmniej z tydzień, więc zabrał pismo do teczki i pojechał do tego Półdubka. Tam początkowo chciano wysłać go na drzewo albo przynajmniej zażądać osobistej zgody ministra sprawiedliwości, ale skończyło się na wymuszeniu akceptacji pełnomocnika powoda. Co prawda kancelaria sądowa upierała się, że tylko sam powód osobiście mógłby takiej zgody udzielić, ale wściekły już Charuj zapytał, czy wystarczy im seans spirytystyczny, czy też konieczna jest ekshumacja, podczas której urzędniczka sama nakłoni denata, aby zechciał udzielić wiążącej odpowiedzi.

– Mam nadzieję, że wysokiemu sądowi znany jest średnio-wieczny precedens niejakiego Piotrowina – ze złośliwym uśmiechem powiedział aspirant – kiedy to sąd książęcy oddalił skargę krewnych nieżyjącego spadkodawcy i zatwierdził sporny zakup dóbr przez biskupa krakowskiego opierając się na osobistym świadectwie wyciągniętego z grobu byłego właściciela. Czyżby wysoki sąd zamierzał skorzystać z tego precedensu?

W końcu okazało się, że wystarczył jeden telefon do adwokata i aspirant zasiadł za zdezelowanym biurkiem w brudnym sądowym pomieszczeniu, aby przewertować niezbyt grubą teczkę. Spisał dokładnie co ważniejsze fragmenty pozwu i dokumentów towarzyszących, po czym z tym łupem powrócił do komendy.

Zasiedli z O'Mlettem przy kawie i zabrali się do wertowania i oceny tego szczególnego urobku. Poza wykazem chorób z dzieciństwa i lat młodzieńczych, który znany im był z poprzedniej wyprawy do Kaczej Górki, Charuj przywiózł listę poważnych schorzeń, na które cierpiał podobno dorosły już Spitogniew Maria Plaplak. Każdy z opisów tych chorób opatrzony był obszernym komentarzem obrazującym przyczyny ich powstania i rozwoju, co razem tworzyło przerażający obraz wyrafinowanych tortur, jakim zwyrodnialcy z reżimowej służby zdrowia przez lata poddawali nieszczęsnego powoda. Nic więc dziwnego, że w konkluzji

adwokat zażądał dla niego odszkodowania w wysokości dwóch milionów złotych.

Powód cierpiał oto na ciężką wadę serca, gdyż jeszcze w życiu płodowym uformował mu się międzyprzedsionkowy otwór owalny, który zarósł dopiero dzięki ukrywanym przed pseudo-lekarzami staraniom matki, wydającej na pokątną terapię każdego zarobionego dolara. Istnienie dziury wewnątrz serca nieszczęśnika, powstałej przed jego urodzeniem niewątpliwie w wyniku przeżycia koniecznością czekającej go egzystencji w nienormalnych światopoglądowo warunkach, ponad wszelką wątpliwość potwierdził biegły sądowy, lekarz dentysta. To wydarzenie spowodowało zapewne tragiczne następstwa w postaci zaburzeń układu przewodzącego serca i blok węzła przedsionkowo-komorowego, ale ofierze prześladowań zamiast koniecznego w takich sytuacjach stymulatora wszyto rzekomo „pomyłkowo” esperal, co uniemożliwiało mu ożywioną działalność opozycyjną.

Ciężka niewydolność nerek, spowodowana niewątpliwie permanentnym dosypywaniem soli do potraw i napojów spożywanych przez powoda, a podjęta przez komunistyczne służby specjalne, doprowadziła do stanu zagrożenia życia. Niezbędnego w takim przypadku dializowania wszakże nie podjęto, gdyż zabieg ten przysługiwał wyłącznie reżimowej elicie i ich rodzinom. Nieszczęśnik



musiał więc samotnie borykać się z problemem, pijąc litrami różne płyny i zażywając później, na ogół nieskuteczne, ordynowane mu złośliwie środki na kaca.

Marskość wątroby wykrył u powoda przypadkiem znajomy z opozycji pomocnik technika dentystycznego, awansowany później do rangi wiceministra zdrowia. Dolegliwości tej nabawił się delikwent w wyniku długotrwałego stresu, jakiemu poddawało go otaczające jego osobę środowisko agentów, tajnych współpracowników i zakamuflowanych popleczników ZOMO, ORMO i KGB, od jakich roіło się w zakłamanym i łże-elitarnym społeczeństwie wykształciuchów.

Wadliwa i rabunkowa polityka rolna zdegenerowanych władz reżimowych, kontynuowana przez postkomunistów i inną lewicopodobną chałastwę, legła u podstaw lawinowego rozrostu różnych roślin, których pyłki i olejki eteryczne spowodowały u powoda ciężką alergię. Z czasem poziom reakcji uczuleniowej u S.M. Pla-plaka wzrósł do tego stopnia, że sama informacja o pojawieniu się chociażby śladu jakiegoś pyłka w odległości mniejszej niż 350 km, powodowała u niego natychmiastowy odczyn alergiczny. Za przykład może służyć przypadek nieusprawiedliwionego innymi przyczynami zataczania się, bełkotliwej mowy, zasinienia nosa i zasypiania przy stole podczas konferencji poświęconej podpyleniu

paru milionów nie przez tego działacza co trzeba i opyleniu państwowego gruntu niewłaściwemu biznesmenowi zamiast cierpiącemu niedostatek zgromadzeniu sióstr Zefirynek od św. Konspiracego, które się o to ubiegały.

Schorzenie doprowadziło do astmy uczuleniowej na wszelkie przejawy łamania dyscypliny partyjnej, co na piśmie potwierdzili liczni świadkowie obserwujący zespół nasilających się objawów.

Choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy rozwinęła się u ofiary w wyniku celowego, kryminogennego przedawkowania pochodnych węglowodorów etanowych, podawanych jej przez agentów bezpieki występujących w roli barmanów, kelnerów, przypadkowych znajomych, a nawet „przyjaciół”, dążących do spowodowania degeneracji błon śluzowych przewodu pokarmowego delikwenta. Perfidia sprawców była tym większa, że za każdym razem wstępnie znieczulony żołądek ofiary nie był w stanie dać zdecydowanego oporu tym zakusom i przyjmował je za dobrą monetę.

Gdy Charuj skończył czytać notatki, odchylił się znad stołu i usiadł wygodniej w fotelu. Zamyślony O'Mlett milczał przez dłuższą chwilę, porządkując w myślach natłok informacji.

– Znaci, jeżeli on bił taki chory za życia, to lasiego on zdrowy po szmerci? – zapytał w końcu bardziej sam siebie, niż Charuja. – Doktor na autopsy nie wysiukał mu żadna choroba! Zdrowa serce,

zdrowa nerki, zdrowa żołądek, wsisko zdrowa, tylko on nebosz-  
cik! A te dwa myliony odsłku... odeśiko...

– Odszkodowania – podsunął Charuj.

– Yes, odeśkudywania, to on dostał?

– Nie, bo wyrok nie zapadł, a jak powód umarł to wniosek od-  
dalono.

– I sąd nie paćał, lasiego on umarł?

– A co to sąd obchodzi. Umarł i już, a skoro tak to nie ma  
sprawy.

– A gdyby żył, to sąd kazałby dawacz mu te penądze? – Komisarz  
wrażnie usiłował doszukać się logiki zarówno w samym wniosku  
jak i w postępowaniu sądu, który nie odrzucił pozwu od razu, na  
samym początku sprawy, w wyniku oceny wątpliwości co do za-  
sadności roszczenia.

– Nie mam pojęcia! Na medycynie się nie znam, ale logicznie  
rzecz biorąc wniosek był nie do obrony. Ale to tylko moje zdanie,  
a w sądach cuda się zdarzają.

– Lasiego tak uważujesz?

– No bo tylko posłuchaj. – Charuj głębiej usiadł w fotelu. –  
Wiesz, że moja stara jest doświadczoną pielęgniarką, przecież po-  
znałeś ją. Otóż ona wytłumaczyła mi jak chłop krowie na miedzy, że  
gdyby rzeczywiście temu facetowi nie zarósł po urodzeniu otwór

międzyprzedsiorkowy, to bez operacji serca poegzystowałby może kilka lat i umarł jako dziecko. Gdyby naprawdę miał blok przedsiorkowo-komorowy, to bez wszczepienia stymulatora już by go nie było albo bez przerwy leżałby na kardiologii podłączony do monitora. Gdyby cierpiał na niewydolność nerek, to bez dializy i przeszczepu za długo by nie pożył. Pomyłkowe wszycie esperalu zamiast defibrylatora jest kompletną bzdurą nawet dla laika. Ewentualnie można by walczyć o uznanie marskości wątroby i owrzodzeń żołądka, ale sekcja by to na pewno wykazała. Czyli te wszystkie choroby to bajka, zostaje nam tylko astma uczuleniowa, ale jej ataki, o ile mi wiadomo, nie przypominają stanu upojenia. Mam kolegę z astmą i wiem, jak się zachowuje. Skoro my to wszystko wiemy, to i wysoki sąd by pewnie wiedział, wystarczyłoby spytać pierwszego z brzegu lekarza, niekoniecznie zaraz biegłego sądowego.

– Znać ten jego lajer jest krejzi, że pysze taki wniosek?

– No nie. Jak powiedziałem, gdzie jak gdzie, ale u nas cuda się zdarzają. Niedawno jeden czterdziestoletni poseł z tego samego grona został oficjalnie uznany za kombatanta zbrojnego podziemia z czasów drugiej wojny światowej choć są wątpliwości, czy jego rodzice już żyli w tamtym czasie. Fajne, co? Czemu więc nasz delikwent nie miałby egzystować z dziurawym, niepracującym sercem, pomarszczoną wątrobą wielkości pięści i bez obu nerek i nie

otrzymać z tego powodu ciężkiego odszkodowania. Niezmierzona jest moc jedynie słusznej ideologii!

– To wsisko jest parso śliczne, ale ten Plaplak pśecież na coś umarł, bo w ościa w szmetanie to ja nie wierzę.

– Ale na pewno nie umarł na to, co napisał we wniosku ten adwokat.

– No i topsie! My mieli for kueszczens, pamętaś? Persie, ci było celowe dżatanie. Druge, jaki szrodek użity. Czecie, kto użił i ćwarte, ci był psipadek. Ten wniosek i sąd na nic nie odpowiada. My wiemy tyle samo, co wiedzieli. Naś cel wyszedziwać, ci kto jego struł, ci nie! Rešta to nie są nawet małe poślaki, one aut!

– To mamy nie jeździć i nie badać przeszłości tego faceta? – ze zdziwieniem spytał Charuj.

– Mamy badać, ale logićnie. Skoro choroby z wnioska to bzdu-ra ważna tylko dla polityki, to ćeba pośukać prawdziwe choroby. Wiemy, że ten poślak to lypa, to jego ćeba aut. Straciliśmy czas bez wynika.

– Jedna jedyna prawdziwa choroba z tego zestawu, możliwa do zaakceptowania, to uczulenie na coś realnego, bo przecież nie na przeciwników politycznych, jak sugeruje ten adwokat.

– Oczywiście! – potwierdził komisarz – Od początku my myśleli, że może pćoła albo jaka druga insekt, albo coś. Zrobiliśmy duży

kółko i kambek do takie myszenie. Na jaki rzecz normalna ćlowek może być alerdzi... znaćci uciułany?

– Uczulony? Praktycznie na wszystko.

– Ale tak statistik, na jaka rzecz najparsiej?

– A bo ja wiem? Znałem takiego jednego, co był uczulony na denaturat.

– Nie mógł pyć denaturata? To chyba każdy nie może.

Charuj parsknął śmiechem. – Nie, wystarczy, że dotknął. Rękę sobie polał albo coś. Z miejsca pokrzywki dostawał i skóra mu złażyła.

– To on całkiem wódki nie pił? Nawet w Christmas dej? Z niego parso nieszczęśliwy ćlowek.

– Pił ile wlezie, a uczulony był tylko podobno na to niebieskie z denaturatu, a nie na sam spirytus. Zapomniałem, jak się ten składnik nazywał. Teraz już nie barwią na niebiesko. Badali go z pół roku zanim wykryli.

– On był uciulony na niebieskie, a ten nasz myster Plaplak na ćerwone. – O'Mlett powiedział to prawie poważnie, ale ta uwaga nasunęła Charujowi pewną myśl.

– A gdyby tak głębiej pomacać, co w tym śniadaniowym śledziku mogło być takiego, na co ten gość mógłby być uczulony. Co o tym myślisz, szefie? No, bo skoro nic innego nie jadł i tak nagle go wzięło...

– Pomocywacz można, czemu nie. My oba jedli lancz w biufecie i żijemy, a po tych flaczkach z drobia lodziłak nie powinniśmy – uśmiechnął się komisarz.

– Ale żaden z nas nie jest wysokim dostojnikiem państwowym uczulonym na czerwoną paprykę. No to co? Pogadam z tym szefem toksykologów z laboratorium. Może coś nam podsunie, bo na pałacowych świadków nie ma co liczyć.

– Dobra, pogadywuj.

Toksykolog wypowiadał się ostrożnie. Cmokał, jęczał, wzruszał ramionami, rozkładał i składał ręce, a wszystkie jego wyjaśnienia sprowadzały się do tego, że w śledziku nie wykryto żadnej substancji trującej, co podkreślał w co drugim zdaniu. Na temat możliwości wystąpienia odczynów alergicznych wyraźnie w ogóle nie chciał rozmawiać zastrzegając, że nie jest alergologiem, ale z jego doświadczenia wynika, że można być uczulonym na wszystko.

– Niech pan, panie kolego, weźmie pod uwagę na przykład idiosynkrazję – powiedział wyjaśniająco.

– A co to jest? – spytał Charuj.

– To uczulenie na coś, na przykład na któreś z białek, powstałe jeszcze w życiu płodowym, przed urodzeniem się delikwenta.

– A może to być takie płodowe uczulenie na śledzia?

– Teoretycznie może, ale raczej ogólnie na rybie białko. Osobiście nigdy się z czymś takim nie spotkałem ani nie słyszałem, by któryś z kolegów się spotkał. Poza tym dlaczego to uczulenie ujawniło się dopiero teraz? Czyżby przeszło czterdziestoletni facet nigdy dotychczas nie jadł ryby? Mało prawdopodobne!

– To jak pan to, doktorze, powiedział? Idiosynkrazja? – Aspirant postanowił dokładnie zapamiętać to słowo, wężąc w nim ewentualną drogę ucieczki w przypadku kompletnej klapy w dochodzeniu do prawdy obiektywnej, na co wyraźnie się zanosilo.

– To z mojej strony tylko przykład, a nie sugestia – zastrzegł się toksykolog.

– Oczywiście, oczywiście – potwierdził Charuj, ale wyszedł zadowolony z przebiegu dyskusji.

O'Mlett po wysłuchaniu relacji z rozmowy z szefem laboratorium okazał się wszakże bardziej sceptyczny od aspiranta, a co najważniejsze, nie docenił wagi informacji o idiosynkrazji przyjmując ją wprost, bez żadnych piętrowych skojarzeń.

– To znać, że ten denat, forty jers stary, nie wiedział, że on uciulony od dżeczka na każdego fisza? On spokojnie je go na śniadanie, najpierw pać na niego, wydzi że on ryba, a nie schabowy, zamienia chorągiewki, a potem roby suysayd... znać... samobojec? Co on? Krejzi? Nemożliwe.



Charuj usiłował mimo to wytłumaczyć przełożonemu dużą wartość uzyskanej informacji nie w kontekście medycznym, ale prawnym, jako nadającą się do przedstawienia przyczynę zdarzenia.

– Szefie, kto podważy taką sugestię? Że jest logicznie mało prawdopodobna? A co tu w ogóle jest logiczne, całe śledztwo jest lekko świrowate!

– Może i tak, ale my jesteśmy pożądana polis i nie robym żadna lewizna.

Charujowi opadły ręce.

Wieczorne „Wynaturzenia Dnia” na pierwszym miejscu wśród wiadomości podały informację, że szef Biura Zabezpieczenia Narodowego Przed Układami pan minister Sobiesław Patyczak został odwołany ze stanowiska, a na jego miejsce powołano pana ministra Janka Marka Zakapiorka, co niewątpliwie wpłynie na polepszenie, wzmocnienie, stabilizację, mobilizację i w ogóle. Natomiast pan minister Patyczak przeszedł na stanowisko dyrektora Zespołu do spraw Dekombinacji Ogólnej, co niewątpliwie ugruntuje mobilizację, stabilizację, wzmocnienie, polepszenie itd.

– No to będziemy mieli małą wojnę domową, a być może również jakąś czystkę w resortach siłowych – stwierdził Charuj po wysłuchaniu wiadomości.

– Lasiego?

– Bo jest nowa miotła, która musi się wykazać. W poprzednim rozdaniu miała za mało czasu by poszaleć, więc teraz pewnością sobie odbije.

Już po czterdziestu ośmiu godzinach czarny scenariusz Charuja zaczął się powoli sprawdzać. Po komendzie rozniosła się szeptana plotka, że karygodna nieudolność resortu niewątpliwie stanie się powodem nieuniknionych zmian personalnych. Na razie poleciał minister sprawiedliwości, rzekomo za to, że gdzieś tam jakiś dawno zapuszkowany bandzior zadźgał się w celi trzonkiem od plastikowej łyżki, ale wiele wskazywało na to, że i minister spraw wewnętrznych może być odpowiedzialny za tę straszną zbrodnię, bo skoro bandzior się zadźgał to znaczy, że mógł coś wiedzieć. A jeżeli coś wiedział, to na pewno o przekrętach ministra. Wywód był porażająco jasny jak latarka bez baterii w nocy, we mgle i w długim tunelu, ale moherowa część społeczeństwa i tak na pewno go kupi.

Plotka kluczyła po komendzie jak szczur po kanałach i widocznie musiał w niej być jakiś promil prawdy bo kierownictwo nabrało wody w usta. Narastający stan napięcia złagodniał nieco gdy ogólną uwagę przykuła inauguracja nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale po kolejnych dwóch dniach marazm powrócił i znów zarażał podejrzliwością każde słowo i spojrzenie.

Prokurator w krótkiej rozmowie telefonicznej z O'Mlettem wyraził lekkie zaniepokojenie ślimaczącym się śledztwem zwracając uwagę na upływający trzymiesięczny ustawowy termin zamknięcia sprawy. Rozumiał oczywiście wszelkie trudności, ale widać było, że i on uległ ogólnej psychozie.

– No to co robimy w tej sytuacji? – spytał Charuj gdy komisarz odłożył słuchawkę. – Praktycznie wszelkie źródła wyczerpaliśmy!

– Ćeba iszcz do inspektora – stwierdził O'Mlett po chwilowym namyśle.

Podinspektor Przeciąg przyjął ich bez zbytej zwłoki. Usiadł za biurkiem na brzeżku fotela, jakby nie był pewien czy ten fotel w pełni do niego należy i kreśląc na papierze jakieś esy-floresy w milczeniu słuchał opowieści o wszelkich szlabanach nie do przeskoczenia i braku jakichkolwiek racjonalnych przyczyn nagłego zgonu świętej pamięci ministra Plaplaka.

– Ja widzę, panie kolego – rzekł wreszcie z westchnieniem zwracając się do O'Mletta – że pan koniecznie chce udowodnić, że tego gościa otruli. Wszakże, jakby to tak delikatnie ująć – nikomu na tym zbytejnie nie zależy.

– My chcemy tylko wedzeć lasiego on deed. Lasiego, a nie koniecznie że go otruli. Autopsy mówi, że on uduśiony, ale psiez kto? Sam z siebie udusiony? Od szmietana? No, bo psiecieś żadny ość!

– Panie kolego – z rezygnacją w głosie powiedział inspektor to-  
nem śmiertelnie umęczonej przedszkolanki tłumaczącej trzylatko-  
wi, że siusianie koledze do mleka jest be – panie kolego, nie wy-  
kryliście sprawców i wszystko. Widocznie ich nie było. Jakby pałac  
miał najmniejszą przesłankę, że to działanie koalicji toby o tym od  
dawna ćwierkały wszystkie wróble, a jeśli to wewnętrzna, pałaco-  
wa sprawa, to i tak do niczego nie dojdziecie, a po drodze narobi-  
cie krzywdy. Po co drażnić lwa. I tak ostatnio mają nas na widelcu  
i dobierają się nam do... no, tej... nie wiem, jak to będzie po ame-  
rykańsku. A wy co?. Że ochrona siedziała w szafie, że denata cucił  
ksiądz zamiast lekarza i różne inne takie...

– Panie inspektorze, ale przecież coś temu denatowi zaszkodzi-  
ło. Tak z niczego nie umarł i my tylko to chcemy wiedzieć – wtrącił  
Charuj.

– Skoro biegli lekarze nie wykryli żadnych środków... Sekcja  
była? Była! Dała coś? Nic nie dała. A wy się tygodniami grzebiecie  
w personaliach i coście wykryli? Że się facet procesował o odszko-  
dowanie. No i dobra, każdemu wolno jak się uważa za pokrzyw-  
dzonego. A sprawa się ślimaczy drugi miesiąc.

– Ale prokurator nawet mocno nie pili. Gwałtem się nie domaga.

– Prokurator też pewno nie wie jak to ugryźć, a za długo nie po-  
żyje bez wyników. Krótko mówiąc daję wam jeszcze trzy dni i albo

dacie mi jakiś dowód, no, choćby poszlakę, że to nie była śmierć naturalna, albo zamykacie sprawę jako niewykrytą i do lamusa. Tym z pałacu, jak widać, też nie zależy na sprawcy z krwi i kości, wystarczy im, że mogą snuć podejrzenia. Zrozumieliśmy się? Tak? No to szczęść Boże.

– Mówiłem, że tak będzie – powiedział Charuj do O’Mletta, gdy opuścili gabinet szefa. Komisarz szedł środkiem korytarza z opuszczoną głową i kopał przed sobą jakiś papier zwinięty w kulkę, wreszcie celnym strzałem z prawej nogi postął go w kąt, a następnie podniósł i wyrzucił do przepiętnionej popielniczki.

– Topsy – powiedział z mocą – zgadzuję się na twoje yntolirans, to ydio... coś tam! Ćeba tylko wedżeć, co jego duszyło, żeby nie wyszcz na gupka! Bo nie oszcz ani śledzyk ani szmetana. Może cebulka albo japko? Ale co? On nigdy w życiu japka nie jadł, że go tak nagle wzięto? Co jeszcze było w tym szledzyku?

– Nic. Tylko to, co wymienięś. I pewnie jakieś przyprawy, sól, pieprz...

– Sól? Lajer pisał w ten pozew, że on wery chore nerki z powoda od parso dużo soli!

– Miał zdrowe jak cholera, nic im nie było. Poza tym po szczypcie soli najwyżej nery by go rozbolały, ale by się nie uduśił. Sól odpada. Już prędzej jabłko. Mieliśmy kiedyś takiego króla, który

nie znosił zapachu jabłek. Podobno krew go zalewała od samego wężania.

– Czekawe. To jakiś znany król?

– Bardzo znany. Spuścił manto Krzyżakom pod Grunwaldem. Ze dwadzieścia tysięcy ich wytłukł, w tym wielkiego mistrza, cały jego sztab generalny i kierownictwo partyjne co do sztuki. Pokoju nie było z kim zawierać.

– Aaa, maj fader cosz mówił. To jak to polski japko tak topry motiw, to ćeba jego dawacz for marines w Afganistan. Jak psiez to wybyli dużo ważnych Krzyżaków, to jeden mało ważny mynyster teś mógł się uduszyć. A jaki to był rok? Psied Kosaško i Pulasky ci after?

– Tysiąc czterysta dziesiąty, czyli prawie czterysta lat przed.

– Ooo. To w Stany żyli tylko Irokezy, Hurony, Czejeny, Apacie, bizons i dżykie teerkis... znaci indyks na dzękcńinienie dey. Uest Point i Haruard Juniwersity jeście nie było.

– A Uniwersytet Jagielloński już był, to czyje FBI ma starsze tradycje, wasze czy nasze?

Roześmieli się obaj, ale kwestia alergenu dalej pozostawała nierozwiązana.

W pokoju czekał na nich policjant, który niedawno odwiedzał mieszkanie pana Miłostawa Kibitki i brał udział w obserwacji jego domniemanej żony.

– Byłem wczoraj w PZU, bo sąsiad z góry chałupę mi załat – poinformował bez wstępu.

– No i ? – obojętnie spytał Charuj.

– No i spotkałem na korytarzu kobitę tego Kibitki, cośmy jej zakładali obserwację. Chyba mnie nie zauważyła i nie poznała, bo byłem po cywilu. Była z nią jeszcze taka jedna, ubrana jak modelka. No i ona kłóciła się z jakimś mecenasem, że już miesiąc czeka na wypłatę ubezpieczenia po śmierci męża, a ten mecenas podobnież nic nie robi. On jej cicho tłumaczył, że nic nie może dopóki się sprawa nie wyjaśni, a ona się na niego darła na cały korytarz, że co z niego za pełnomocnik jak nie potrafi prostej rzeczy załatwić i w ogóle. Myślałem, że to może pana komisarza zainteresuje, to przyszedłem zameldować.

– No może, zobaczymy. Żeby tak jeszcze wiedzieć, co to za baba żarła się z tym mecenasem i co do tego ma ta niby żona od Kibitki, co z nią była.

– Miałem ze sobą komórkę, to ich pstryknąłem – skromnie, ale z satysfakcją dodał policjant.

O’Mlett z Charujem z ciekawością rzucili się na zdjęcie.

– Chłopie! Jesteś wielki jak różowy słoń! – zakrzyknął Charuj obejmując posterunkowego – toż to pani minister Safandulec! Jak

żywa! Nawet tak samo rozkociudłana, tylko ma na sobie futerko z jakichś szcurów. Prawda, szefie?

– To znaci, że monś od niej deed więcy jak mesionc do tyłu. Czekawe.

– To również znaczy, że sprawa tej śmierci nie jest wyjaśniona, czyli jest jakieś śledztwo w toku i mecnas od ubezpieczeń ma szlaban. Czy ty myślisz, komisarzu, o tym samym co ja?

– Ynsiurens nie płaci, jeżeli kto suysajd. Sory, jak on szamobójnik

– I nie płaci również jak nie wiadomo, czy nie zabiła go osoba uprawniona do pobrania ubezpieczenia albo spadkobiorca. W ogóle sprawy nie rusza dopóki śledztwo jest w toku.

– Yes, ale to juś ćisty kriminal, a jak my oba myszlimy jednakowo, to tutaj takie coś nie zachodzi. Chyba że to dotyka całkiem druga osoba, a ui tuggeder juś mamy szwyr na punkcie myster Plaplak.

Zrobili kawę sobie i posterunkowemu, po czym zasiedli do wyciągania z tej informacji mniej lub bardziej logicznych wniosków.

– Załuśmy, że myster Plaplak to monś mynyster Safandulec – zaczął O'Mlett strzelając od razu z najgrubszej rury – to lasiego ona była taka spokojna? Żadna emocja, żadna żal za lajf partner!

– Ale jednocześnie robiła wszystko, żebyśmy nie weszli głębiej w sprawę. Pytanie tylko, czy to z przyczyn osobistych czy



politycznych. Gdyby denat rzeczywiście był jej mężem albo partnerem życiowym, to ten cały szambelan nie powinien w ogóle dopuszczać jej do śledztwa, chociażby przez zwykły szacunek dla bólu po stracie. Chyba że to tak bezduszna i twarda baba, że nic jej nie bierze! Z drugiej strony, jeżeli nie była z nim związana, to o ubezpieczenie po kim się stara?

– A może stara się nie ona tylko ta druga, ta niby żona od Kibitki? A pani mynyster tylko pomaga w egzekuszyn, bo dużo może? Bo po co obie były u tego lajera od ynsiuransu?

Sprawa stawała się coraz bardziej zawiła. Ktoś o nazwisku Kibitka został podany na liście świadków udławienia się Plaplaka i zwolniony z roboty bez podania przyczyn, a nawet nie wiadomo, czy w ogóle był zatrudniony, bo nikt go nie widział, a następnie w dziwny sposób zniknął z domu, w którym nie mieszkał. Jednocześnie nikt nie słyszał o żonie ani nawet konkubinie denata, pana ministra Plaplaka, a tymczasem któraś z dwóch zaobserwowanych kobiet domaga się przyspieszenia wypłaty ubezpieczenia, być może za jego śmierć. Tyle, że nie wiadomo, czy rzeczywiście za niego i która to kobieta. W każdym razie suma musi być duża skoro w jej uzyskanie angażuje się sama pani minister Safandulec, niezależnie od tego, na czyje konto pieniądze wpłyną. Dodatkowo w sprawie przewija się osoba niejakiego Józefa Pieniarza, postaci

o tyle dziwnej, że realnie nieistniejącej. Krótko mówiąc pytań było więcej niż odpowiedzi.

Pół godziny później po komendzie gruchnęła wiadomość, że inspektor Strzypiur, od trzech, miesięcy na zwolnieniu lekarskim, został zawieszony w czynnościach za nieudolność i brak sukcesów w śledztwie, a podinspektora Przeciąga pilnie wezwano na dywanik i nie wiadomo czym to się skończy.

Poruszony tą informacją komisarz O'Mlett siedział zadumany i widać było, że usiłuje w myślach ten cały galimatias uporządkować, ale mu jak na razie nic z tego nie wychodzi. Wreszcie odchylił się w fotelu i stwierdził z rezygnacją:

– Wiesz ty co, Charuj, mnie się wydawa, że ynspiktor Psieciąg ma rację. Na jakim kolere my mamy w tym gźebać, jak to nie dawa żadny sukces? Nie wysledzim kto killer i čím Plaplak otruwany, a te dwie łymen w insiurans daje tylko dowoda, że tu ydże o duży pieniądz. A jak ydże o pieniądz to ony gotowe rozwalić nawet całą komenda. Ty paczaj, ynspiktora Szczypura juś załatwili, choć on szedzi w hospital.

– To co twoim zdaniem należy zrobić? Ja też przez skórę czułem, że to się skończy jakąś grubszą draką. Coś nie mamy szczęścia do prostych spraw albo podchodzimy do rzeczy zbyt uczciwie. Trzeba

było podpisać w pałacu to, co chcieli nam podsunąć i mieć z głowy. No i co teraz?

– Teraz pręko wysiukać psółcina, od którego on udusiony.

– Ale to musi być wiarygodna przyczyna, a na medycynie ja się nie znam, ty zresztą też. Ale nie ma wyjścia, myślimy od początku, może coś się nawinie, mniejsza o to, prawdziwe czy nie, byleby było do przełknięcia przez pałac i prokuratora.

Po godzinie przewracania protokołów z przestłuchań, sekcji i innych notatek O'Mlett powrócił do nieszczęsnego śledzia jako do głównego sprawcy tragedii i do zeznań pani Apolonii Ciapul.

– Charuj, ona tego szledza wyjmała z dżar... znać gias... znać...

– Ze słoika – przypomniał aspirant.

– Yes, soika. A ty wtedy pitał, lasiego soika? Pamiętaś?

– Pamiętam. Bo był podobno tochę marynowany. No to co?

– A marinowany to z liść lourel?

– Bobkowy? Możliwe. I pieprz, ocet i takie tam różne. Trzeba żony spytać.

– Hurej! To mi sze wydawa, że my znaleźli, że to od tego soika!

– Że co? Że śledź szkłem przeszedł? Albo blachą z pokrywki, albo liściem bobkowym? Nie wiemy nawet, czy ten liść tam w ogóle był. Laboratorium o tym nie wspomina.

– Żadna łyść tylko ocet! Trochę ocet muszał być! Ci może być marynowiony coś bez ocet?

Uczepili się tego i zasiedli do pisania. Po kolejnej godzinie notatka z ustalenia przyczyn nagłego zgonu ministra Spitogniewa Marii Plaplaka była gotowa i O'Mlett zażądał pilnej audiencji u podinspektora Przeciąga.

– A jak on cię wyśmiej? – zaniepokoił się Charuj.

– No problem. Najwyżej ja wcześniej kambek do Stanów, a ty powieś, że ja ci tak kazałem. A mamy inne wyjście?

– No nie...

– No to go!

Poszli. Podinspektor Przeciąg przyjął ich bezzwłocznie bo miał cichą nadzieję, że się w końcu zreflektowali. Niechętnie wziął do ręki notatkę i zaczął czytać, ale w miarę zagłębiania się w tekst jego zainteresowanie wyraźnie wzrastało, aż w końcu odzwierciedliło się w postaci szerokiego uśmiechu i głębokiego westchnienia ulgi.

– Noo, panowie! I o to chodzi! – Tu przełożony zaczął powtórnie półgłosem czytać raport, prześlizgując się po mniej ważnych fragmentach dotyczących przebiegu śledztwa, a kluczową konkluzję przeczytał już głośno i z wyraźnym ukontentowaniem: – „W świetle powyższego, w wyniku przeprowadzonych badań życiorysu i stanu zdrowia denata w chwili zgonu oraz przebytych chorób

ustalono, że pan S.M.Plaplak niewątpliwie cierpiał na dotychczas niezdiagnozowane uczulenie na esencję octową, co w momencie jej spożycia, nawet w dużym rozcieńczeniu, stało się przyczyną bardzo silnej reakcji alergicznej prowadzącej do obrzęku przetyku i górnych dróg oddechowych. Ustalono, że alergii denat nabił się w stanie wojennym, kiedy to zmuszony był przez okres dwóch lat odżywiać się wyłącznie octem jako jedynym produktem spożywczym dostępnym wówczas bez kartek, których nie pobierał protestując w ten sposób przeciwko reżimowej administracji, dążącej do gastronomicznego zniewolenia społeczeństwa. Istnieje domniemanie graniczące z pewnością, że denat nie mógł zapobiec wypadkowi gdyż nie spodziewał się obecności octu w śledziu w śmietanie, w związku z czym wyklucza się zamach samobójczy. Dotychczasowe śledztwo nie wykazało również zamierzonego udziału osób trzecich w pozbawieniu życia S.M.Plaplaka”.

Po południu raport trafił na biurko prokuratora, który nie wniósł zastrzeżeń do jego treści choć widać było, że stanowił dla niego kompletne zaskoczenie.

– No tak – powiedział po dogłębnym zapoznaniu się z jego treścią – medycznie hipoteza trudna do obalenia, prawnie ujdzie, bo ciężko jej coś zarzucić przy tak chronicznym braku dowodów, ale

politycznie to wprost sam cymes. Mam nadzieję, że bez kłopotów zamkniemy w końcu to śledztwo.

W wieczornych „Wynaturzeniach Dnia” podano między innymi dwie liczące się wiadomości. Po pierwsze, że omyłkowo zawieszony za nieudolność wielce zasłużony inspektor Strzypiur oczywiście powrócił na stanowisko oraz że ukarano sekretarkę, która pomyliła nazwiska i stopnie służbowe w komputerze, i po drugie, że pani Miłosława Kibitka została mianowana doradcą do spraw głęboko moralnych w randze podsekretnarza stanu i że przewiduje się jej dalszy ewentualny awans na dyrektora nowo tworzonego Biura Koordynacji Płci w Ustawowo Bezpłciowej Polityce Zapobiegania Nieplanowanemu Pozamałżeńskiemu Nominacjom in Vitro.

– Słyszałeś? – zapytał Charuj O’Mletta.

– Słyszałem.

– No i co ty na to?

– Że ta menćizna okazywa się kobita? No problem. Biwa w medycynie takie psipadki. A to całe nasze szlectwo też było pozamałżeńsko nieplanowane in vitro, cili jak ten szledź ze soika!